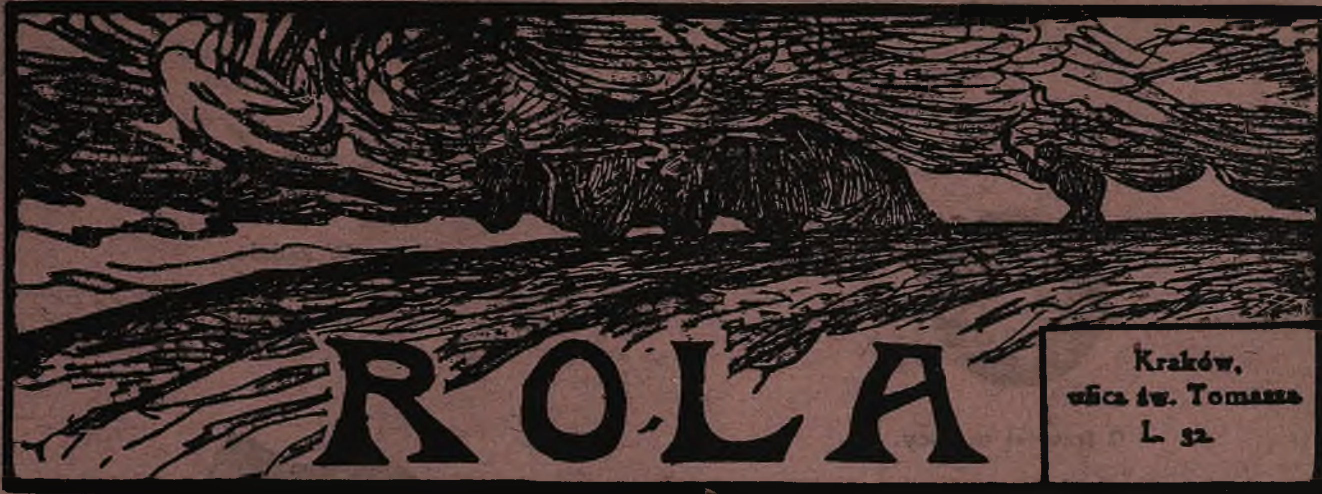
Numer 34. Nal. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 24 Sierpnia 1930



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Boi się wody!

Icek: Szmul, czego ty trzymasz palec w tego wodę?

Szmul: Nu, doktor mi zapisał, co ja potrzebuję brać kąpiele, — to ja sze pomału do wody przyzwyczaję.



O trzeciej w nocy.

— Din, din, din!...
— Kto tam?
— Panie aptekarz! Niech pan otworzy...
— Zaraz!...
— Jeno migiem, bo pilno!
— Zaraz!...
— Niech się pan pospieszy!
— Zaraz!... Czego chcesz?
— Przyszedłem po lekarstwo...
— Więc czego chcesz?
— Za trzy grosze dyachilu...

— A niech cię kaci porwią!... Po taką bagatelę w nocy przychodzisz, sam nie śpisz i drugich budzisz! Nie mógłbyś po to rano przyjść?

— A prawda! Ma pan słuszność! To już kiedy tak, to przyjdę rano, bo nawet co prawda, to zapomniałem pieniędzy!...

Na posiedzeniu Kółka rolniczego.

Mowca: — Panowie, ten gnój powinien wam wszystkim gorąco leżeć na sercu.



W sądzie.

Prokurator: — Jako okoliczność obciążającą podkreślam, że widywałem oskarżonego w miejscach tak wstrętnych, że sam byłbym się wstydził pójść tam!



Na lekcji przyrody.

Nauczyciel. Każde zwierzę ma budowę ciała przystosowaną do warunków bytowania. Np. żyrafa ma długą szyję wtym celu, ażeby mogła ogryzać liście z wysokich drzew. Świstakiewicz, wymień mi jaki inny przykład.

Np. pluskwa, panie psorze, jest szeroka i płaska, ażeby mogła z łatwością dostać się pod pierzynę.

Numer 34. Rok XIII. Kraków, dnia 24 sierpnia 1930.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy

Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Kopidoły młodości.

Młodość, to najpiękniejszy i najpoważniejszy wiek w życiu ludzkiem, młodość jest wiekiem nadziei jest czasem siejby ale i czasem najniebezpieczniejszym dla człowieka, gdyż młodość ma z jednej strony przyjaciół, lecz z drugiej strony otoczona wrogami, ma ojców, ale ma także i grabarzy — kopidołów.

Pierwszym kopidołem czyli grabarzem wieku młodzieńczego to — złe towarzystwo. Każdy człowiek, tem więcej młody, potrzebuje towarzystwa i przyjaciela w życiu. Przyjaźń zawarta w młodzieńczym wieku to zazwyczaj najtrwalcza i najdroższa przyjaźń. Towarzystwo jednak musi być odpowiednie i dobrane, niedobrane bowiem staje się źródłem zepsucia i upadku, dobry przyjaciel, kolega, to skarb, ale pijak, nicpoń, rozpustnik, bluźnierca, próżniak, karciarz, to nie kolega, to kopidół, to grabarz twego zdrowia, duszy, cnoty i szczęścia.

Drugim kopidołem wieku młodzieńczego to rozpusta. W złotej czarze, podanej ręką rozpusty, tkwi zawsze jad i trucizna. Jedynym dorobkiem rozpusty to zamglony wzrok, sina pod okiem podkowa, blade oblicze, chwiejny krok, gnuśność, skrytość, osłabienie pamięci i upadek sił duszy i ciała. Po wsiach zastawia rozpusta swe sieci na młodzież na weselach, zabawach, spacerach i nocnych schadzkach, w mieście znów morze brudów stanowią ohydne teatry, przeróżne kina, wstrętne widokówki, nocne szynki i knajpy, chlewiki nierządu i wypożyczalnie najwstrętniejszych książek.

Trzecim grabarzem młodości to pijatyka.

Alkohol sam przez się jest trucizną, a młody organizm stanowi podatny grunt pod działanie alkoholowej trucizny. Alkohol spijany przez młodzież, kopie grób pod wstyd i cześć młodzieńczą, połowa bowiem występków nieczystych ma źródło swe w pijaństwie, pijaństwo jest korzeniem wszelkich zbrodni, w kieliszku topi młodzież zdrowie, topi cześć i wstyd, topi zarobek i szczęście nietylko doczesne, ale i wieczne.

Czwartym grabarzem młodości, to lenistwo i próżnowanie. Przez lenistwo otwiera się bramę w sercu do wszelkiego zła, lenistwo i próżnowanie kopie grób pod najsmutniejszą przyszłość młodzieńca.

Piątym kopidołem młodości to — brak szacunku dla starszych. Obowiązkiem każdego młodzieńca, nałożonym nań rozumem i wiarą, to cześć i posłuszeństwo dla rodziców i przełożonych. Sam Pan Bóg rozpoczął swój kodeks prawny od czci i szacunku względem rodziców: „Czcij ojca i matkę twoją". Niech te fałszywe hasła młodości „młodość ma swoje prawa", albo „młodość musi wyszumieć" lub „używaj świata, póki młode lata", nie mają miejsca w sercach młodzieży, gdyż w młodości wolno wszystko, tylko przykazań Bożych łamać nie wolno, praw młodości nie wolno budować na zdeptanych prawach Bożych.

Młodość ma być wesoła, ale nie rozpustna, ma ją cechować swoboda i męskość, ale nie swywola i bezkarność.

Na dokończenie wyrażam prośbę do młodzieży, czyto miejskiej, czy wiejskiej, by swe młode życie prowadziła dobrze i szlachetnie, była nadzieją i otuchą, była koroną i chwałą narodu, była naprawdę młodzieżą polską i katolicką.

Piotr Wenc.

MAURYCY JOKAY.

W tajemniczej ziemi złota

Powieść tłómaczona z węgierskiego przez K. Górskiego.

— W razie potrzeby możesz brać z tych bogactw, dodała, ile tylko będziesz chciał, wszystko to należy do ciebie.

A zaś najcenniejszym skarbem dla Rjumina było serce królowej.

Nie mógł nawet zapanować nad swem zdenerwowaniem. Porwał rękę królowej i gorąco przycisnął ją do ust. Zapytał się też:

— Gdzież znajdują się kopalnie, z których pochodzi to ogromne bogactwo?

Królowa może zauważyła teraz demoniczny przebłysk w jego oczach, który w tej chwili w nich się pojawił. Czy też nie zdradziły go jego drżące wargi, mocno bijące serce, czy nie odkryły przypadkowo owej tajemnicy, dlaczego podjął się niebezpiecznej wyprawy?

Ale Alhazirą opanowały inne myśli, nie zauważała, co się z Rjuminem działo, bo odpowiedziała mu na pytanie:

— Nie wiem, gdzie znajdują się kopalnie, z których bogactwa te pochodzą.

Odpowiedź taka zaskoczyła wprost Rjumina. — Z trudnością starał się opanować swoje wewnętrzne podniecenie.

— Któżby o tem miał wiedzieć, jak nie ty, królowo? — rzekł.

— O tem wiedzą tylko górnicy.

— A to ci ludzie nie są twymi poddanymi?

— Z ludźmi tymi nikt nie potrafi się rozmówić, ani ja, ani ty, ani nikt wogóle. Są to twoi rodacy, Rosjanie.

— Rosjanie? Dlaczego nie mógłbym się z nimi rozmówić? Dlaczego?

— Bo ludzie ci, to „milczki".

XIV.

Te słowa były dla Rjumina największą niespodzianką. Miał takie uczucie, jakie opanowuje podróżnego na okręcie, pędzącym szybko naprzód i nagle osiadającym na mieliźnie. Prawie że przestraszył się słów królowej, bo przeczuwał, że spodziewać się musi nowych, pewnie trudnych do pokonania przeszkód.

Gdyby się był dowiedział, iż kopalnie, dostarczające Udiom tych ogromnych bogactw, znajdują się w posiadaniu jakiegoś dzikiego szczepu, odznaczającego się krwiożerczością, nie traciłby nadziei. Jego przełożeni nie zawahaliby się ani na chwilę poświęcić całej armji na zdobycie bogatego kraju, byleby znaleść się w jego posiadaniu. Ale walki, prowadzone dotąd z różnemi tajnemi sektami rosyjskiemi nie dały żadnych wyników.

Nie zwracając uwagi na jego zdziwienie, królowa zaczęła go wnet objaśniać, kto to właśnie są ci rosyjscy „milczkowie".

A więc tak mu opowiadała:

— Wszyscy Rosjanie, którzy ocknęli się w tych okolicach, zaraz przyłączyli się ku tym twoim rodakom. My nazywamy ich „milczkami". Lud tutejszy zna ich już od niepamiętnych czasów, chociaż niewielu z naszych mogło któregoś z nich ujrzeć.

A to pewnie tworzą samodzielną sektę religijną? — zapytał się Rjumin.

— A tak — przytakiwała królowa. — Już od dawnych czasów trudnią się górnictwem i oni to właśnie odkryli ogromne pokłady złota i srebra. Ale nikt nie wie, gdzie te pokłady się znajdują. To jest pewne, że nie mają swej siedziby w mojej ziemi, bo u nas wszystkie wyniesienia i doliny zajęte są przez ludzi i dlatego musielibyśmy o nich wiedzieć. Oprócz tego zbadano już każdy zakątek w mojem państwie, dokładnie opisano je w państwowem archiwum i nikt nie może znaleźć nawet najmniejszego śladu, mogącego wskazywać na to, jakoby tu ludzie trudnili się górnictwem.

— A więc w jaki sposób utrzymujecie z tymi ludźmi łączność? — pytał się Rjumin.

— Ci górnicy pojawiają się u nas zawsze w ciemną noc. Pojawiają się nagle i należy przypuszczać, że wychodzą z pod ziemi i znów znikają nagle i co najważniejsza, nie wiemy gdzie. Już zdala rozsiewają ich ubrania zapach zgnilizny, jaki spotykamy u ludzi, którzy długo przebywają pod ziemią.

— I nikt dotąd nie odkrył ich ukrycia?

— Nikt! Poszli już niektórzy za nimi, aby się dowiedzieć o nich czegoś bliższego, ale ci nie wrócili, każdy stał się z nich milczkiem.

— Kiedy pojawiają się u ciebie?

—Tylko dwa razy w roku przychodzą do nas, a to na wiosnę i w jesieni. Na ich czele kroczy naczelnik. Przybywają do stolicy i przynoszą złoto i srebro, wymieniają je na zboże, owoce i ubrania. Znikają potem bez śladu, tak jak przybyli.

— I ci ludzie nazywają się milczkami? — dziwił się Rjumin.

— Pewnie wiesz dobrze, co znaczy ten wyraz — mówiła królowa. — Ktokolwiek przystanie do nich, wypowiada ostatnie słowo w swem życiu, skoro wyrecytował przysięgę, zobowiązującą go do wiecznego milczenia.

— O nich jeszcze dotąd nie słyszałem — rzekł Rjumin, nakłaniając królowę do dalszego opowiadania.

— Milczek nigdy nikogo o nic nie poprosi, nie modli się, nie spowiada się przed księdzem ze swych grzechów, nie odpowiada na pytanie sędziego i żadne męczarnie na świecie nie potrafią wydostać od niego nawet jednego słówka. Mężczyźni i kobiety zobowiązują się przysięgą do wiecznego milczenia i przysięgi tej święcie dochowują.

— A więc to tak, jak w Europie mnisi kartuzjanie — zauważył Rjumin — ale ci przynajmniej dwoma słowami, które wolno im wymawiać, zdradzają, że są dotąd żywemi istotami, słowami temi są: „memento mori" (Pamiętaj na śmierć).

— Rosyjski milczek — mówiła Alhazira — umiera dla świata. Wprawdzie chodzi, widzi i słyszy, ale przeniósł się już w inną krainę. Wszyscy twoi rodacy, żyjący na obszarze mojego królestwa, należą do tej strasznej sekty, zamieniającej ludzi w żywe trupy.

— A może jednak wiecie coś o tych miejscach, gdzie oni żyją — pytał się Rjumin, bo całej tej historji nie mógł zrozumieć.

—Nic o nich nie wiemy — zapewniała go królowa. — Wszystkie badania pozostały bez wyniku. Nawet na moje pytania odpowiadają wzruszeniem ramion. Mimo wszystkich naszych wysiłków nie mogliśmy wyśledzić ich miejsca pobytu, nie dowiedzieliśmy się, gdzie znikają i gdzie znajdują się złoża złota i srebra, chociaż w ziemi wydobywają go w ogromnych ilościach. Boję się przeciw nim występo-

wać gwałtownie i zmuszać ich do wydania tajemnicy, bo regularnie dwa razy w roku przynoszą mi swoje zasoby i niczego za to nie żądają, prócz trochę środków żywności. Nie noszą broni i też jej nie potrzebują, bo kiedykolwiek pojawiają się wśród nas, odnosi się cały mój lud do nich z wielkiem poszanowaniem. Nikt im też nie dokucza, nikt ich nie zaczepia. Lud tutejszy czci ich niby świętych i przeciw takiemu, któryby im wyrządził krzywdę, wystąpiłby stanowczo cały naród.

Teraz dopiero Rjumin zrozumiał, gdzie przepadli wszyscy szpiedzy, wysłani przez rosyjskich wodzów na wybadanie tajemniczej ziemi złota i dlaczego nie wrócił z nich ani jeden. Wszyscy pewnie osiągnęli cel i wszyscy pewnie stali się ofiarami sekciarskiego fanatyzmu, wywierającego na usposobienie Rosjanina czarodziejski wpływ.

Rjumin doskonale znał siłę sekciarskiego ducha rosyjskiego, znał też doskonale swych rodaków. Jeżeli oddali się sekciarstwu, raczej poniosą śmierć, niżby zdradzili tajemnicę.

Rjumin całkiem poważnie zaczął teraz wątpić, czy zdoła osiągnąć cel swojej wyprawy. Królowa Alhazira swojem opowiadaniem rozproszyła wszystkie jego marzenia. Kiedy usłyszał opowiadanie, znikł nawet uśmiech z jego twarzy. Stał się posępnym mrukiem.

Następnego dnia odwiedziła go sekretnie Ismena.

Skoro tylko ją zobaczył, zrodziła się w jego mózgu śmiała myśl:

— Czegóż sobie życzysz, moja gołąbko? — zapytał się jej i serdecznie pogłaskał po twarzy.

— Przychodzę, aby cię poprosić o radę. Musi się coś stać takiego, co zmieniłoby za wszelką cenę nasz dotychczasowy stosunek — rzekło dziewczę.

— Cóż się znów stało? Jakiej rady mam ci udzielić?

— Królowa nalega na mnie natarczywie, abym się zdecydowała — opowiadała Ismena. — Dzisiaj właśnie mi oświadczyła, że naczelnik kałgarski bardzo się już niecierpliwi i koniecznie chce mnie pojąć za żonę. Oświadczyła też, o ilebym się nie zdecydowała iść sama, musiałaby mnie i wbrew mojej woli wydać Czengliemu, bo pono nie można łamać danego słowa.

Rjumin zamyślił się i zaraz nie odpowiadał. — Dziewczę przestraszyło się i ze łzami w oczach zaczęło prosić:

— Dla Boga, co mam więc zrobić?

Teraz wziął ją Rjumin za ręce i rzekł:

— Ismeno, a kochasz ty mnie, i rzeczywiście tylko mnie?

Dziewczę wpatrzyło się w jego oczy, westchnęło głęboko i w milczeniu skłoniło głowę.

Rjumin czuł, że biedactwo drżało na całem ciele.

— Powiedz mi więc, moja ty gołąbko, kochasz ty mnie rzeczywiście i nadewszystko?

Mówiąc to, przytulił ją do siebie. Główka jej spoczęła na jego piersiach.

— Kocham cię nadewszystko — wyszeptała.

Rjumin nie potrzebował nawet tego zapewnienia, bo doskonale znał myśli dziewczęcia. A jednak dalej się jej pytał:

— A kochasz mnie tak, że gotowabyś była ofiarować za mnie i życie?

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale jej rozjaśniona twarz wyraźnie to powiadała.

— Nietylko życie — mówił dalej Rjumin — ale nawet szczęście doczesne i zbawienie twej duszy! — Mów, kochaństwo, chciałabyś ofiarować za mnie twoją duszę?

— Moja dusza należy tylko do ciebie — rzekło dziewczę, zupełnie oszołomione pod wpływem gorącego uczucia. — Ofiaruję ci wszystko i nawet zbawienie mojej duszy.

Rjumin znów przytulił ją do siebie, a całując ją w czoło, rzekł:

— Skoro dajesz mi twoją duszę, przyjmuję ją.

— Ona już jest dawno twoją, kochanku mój — zapewniała go Ismena i po pierwszy raz odważyła się zarzucić mu ręce na szyję.

Nie przeczuwała tego, czego od niej Rjumin zażąda, nie mogła nawet tego we śnie przewidzieć, dlaczego właśnie wymagał, aby mu ofiarowała i duszę swoją. Wierzyła tylko w miłość i zapomniała w tej chwili, że kocha mężczyznę, który myśli o zupełnie czemś innem, a nie o uszczęśliwieniu dziewczęcia.

— Słyszałaś już o sekcie milczków? — zapytał się Rjumin, dążąc do celu, bo już miał cel jasno wytyczony.

Dziewczę zadrżało, jakby nagle przejrzało zamiary człowieka, już uważanego za wybranego.

— Znam ich jeszcze od czasu, kiedy byłam w domu — odpowiedziała. — Ojciec mój i bracia często mieli do czynienia ze wszystkiemi rosyjskiemi sektami, które można spotkać na Kaukazie.

— Czy wiesz co o religji milczków?

— Jeżeli sobie tylko wspomnę na ich religję, to ścina mi się krew w żyłach — mówiła Ismena. — Jest to jeszcze straszniejsza religja, niż religja mojej sekty.

— Powiedz mi więc, co wiesz o niej?

— Członkowie tej sekty zobowiązują się do wiecznego milczenia. Nawet te najstraszniejsze męczarnie nie potrafią wymusić na nich jednego słowa. — W pobliżu naszej wsi, była też raz mała osada milczków i musieliśmy się nad niemi litować.

— Jak brzmi rota przysięgi milczków?

— Jest ona straszna, nadzwyczaj straszna. Każdy nowowstępujący członek musi w przysiędze przekląć całe swoje ciało, swoje kości, każdą kroplę krwi, płynącą w żyłach, musi przekląć cały świat, na zawsze się go wyrzec, musi przysiądz wieczne milczenie. Najstraszniejszy los i najgroźniejsze kary ściągnie na siebie ten, który złamie przysięgę i któryby tylko raz jeszcze po jej złożeniu wypowiedział jedno słowo. Ziemia musi się rozstąpić pod nim, woda ma go zalać, ogień pożreć, najbrzydsze robactwo za życia stoczyć jego ciało. Zmówią się przeciw niemu zwierzęta, drzewa i góry i na każdym kroku wyrzucać mu będą jego ciężki grzech. Najwstrętniejsze strachy prześladować go będą w dzień i noc, podczas snu i czuwania tak długo, aż oszaleje.

— To jest rzeczywiście straszliwa przysięga.

A wreszcie jeszcze — kończyła Ismena — zdrajca sekty musi szczekać jak pies, skrzeczeć jak żaba, język ugnije mu za życia, serce mu uschnie, jego tchnienie zamieni się w morowe powietrze, a każdy człowiek unikać go będzie, jak najbrzydszego potwora. Nie znajdzie pokoju ani od Boga, ani od ludzi, a jego dusza po śmierci w męczarniach błąka się po świecie...

— Nie wiesz, czy też do sekty tej przystępują i kobiety? — pytał się Rjumin.

— Znajdują się wśród nich i kobiety, ale te przyłączają się do nich tylko w bardzo rzadkich wypadkach. Mężczyźni, należący do sekty, żyją bardzo opuszczeni i z miłości do nich kobiety nie przystępują.

życia rodzinnego u nich wogóle niema. A zresztą wieczne milczenie jest dla kobiety większem nieszczęściem niż dla mężczyzny.

— Z czego to wnioskujesz?

— Bo niema dla kobiety nic tak strasznego, jak gdy z nikim nie może pomówić o swych dolegliwościach i uczuciach. Popłacze sobie i poskarży się chociażby drzewom w lesie i ptaszętom w powietrzu, a już serce jej odczuje ulgę. Kobieta już jest stworzona na to, aby była otwartą, aby swoje otoczenie zajmowała rozmową, aby wymagała zaufania i sama je wzbudzała. Te są specjalne cechy charakteru kobiety. Kto pozbawiłby kobiety mowy, ten popełnił na niej większy grzech, niż gdyby pogrzebał ją żywcem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Legenda o Mądrej Królowej.

Piramida Nikotris (Neitoker) w Egipcie należy do największych i najpiękniejszych. Wedle skąpych i zresztą niepewnych śladów hieroglifów, późniejszych greckich pism, a zwłaszcza licznych legend Arabów, piramida ta ma być grobem królowej Neitoker, wdowy po królu Memzafie (Memteruphis), panującym w XI dynastji.

Niezwykłą musiała być ta kobieta, skoro jej sława dotychczas promienieje w arabskich legendach, w których żyje jako „mądra" i piękna królowa, zwana z arabska „Piękna na różanym wozie". Zwiedzającym tę piramidę opowiadają Arabowie, że w pewnych dniach roku, tuż przed zachodem słońca, w pobliżu piramidy Nikotris dzieją się niesamowite rzeczy. Wśród szeptów i szklannych dźwięków, zawodzeń pustynnych piasków, w ostatnich promieniach słońca rzucanych na ściany budowli, ukazuje się duch królowej Neitoker, w postaci pięknej kobiety, w szatach egipskich, zdający się zachęcać ciekawych do pójścia za nią. Biada jednak temu, który pociągnięty jej czarem pójdzie za nią — jeśli wróci, nikt już od niego nie dowie się historji poznania jej — zostaje bowiem do końca życia obłąkanym.

Stare legendy snują tę romantyczną baśń około postaci Neitoker, królowej, panującej przed dziesiątkami tysięcy lat nad Nilem. Jaki istotny ślad jej historji się przechował, trudnoby dociec — ale podobno każda legenda ma w sobie ziarno prawdy.

Stary Arab, długoletni przewodnik piramid opowiada, że „Nikotris", nim została żoną faraona, była ubogą, nieznaną dziewczyną. Kąpiącej się w Nilu, porwał orzeł sandałek, zaniósł go na drugą stronę Nilu i upuścił go przed królem, odprawiającym sądy w mieście, przed świątynią. Król zadziwiony takim darem, nakazał odszukać właścicielkę maleńkiego, przedziwnie plecionego sandałka. Znaleziono młodziutką Neitoker, a król zachwycony jej urodą, uczynił ją małżonką-królową. Neitoker, wolą króla, pozostaje dopuszczona na zebranie uczonych kapłanów, przebywa w uczelniach świątyń, gdzie młoda królowa okazuje niezwykłe zdolności.

Wszelka wiedza, wszelkie wiadomości z tajemnic przyrody zamknięte były w murach świątyń i tutaj to mądra królowa dostępuje godności nauk pierwszego i drugiego stopnia, dostępnych tylko kapłanom. To podają hieroglify...

Wielka i szczęśliwa, wzajemna miłość małżonków trwa jednak krótko. Faraon zostaje podstępnie zamordowany. Mordercami są zazdrośni książęta Egiptu. Uczona wdowa wkłada na głowę koronę z lotosem. Sprawuje rządy mądrze; musi być lubianą przez lud i piękną, skoro pozyskuje sobie imię „Pięknej na różanym wozie", kiedy objeżdża rydwanem ziemię swego państwa. Praca rządzenia państwem jednak nie stłumiła w niej bólu, ni tęsknoty, za umiłowanym małżonkiem. Neitoker knuje w sercu zemstę na sprawców jej nieszczęścia. Podczas uczty, na którą zaprasza książęcych morderców, każe otworzyć śluzy wód Nilu, a fale zalewają pałac na wysokość sali biesiadnej, topiąc wszystkich gości. Po dokonaniu zemsty, w pełni sławy, mądra władczyni-kapłanka odbiera sobie życie, by się połączyć z umiłowanym.

Wiara Egipcjan uważała samobójstwo za zbrodnię przeciw duszy, która nie ma wówczas dostępu do „krainy cieniów". Królowa Neitoker nie może dotychczas odnaleźć swego małżonka, błądząc w okolicach grobów.

Ciekawą jest poezja owej legendy — ciekawsze może ślady, mówiące o wysokiej wiedzy wtajemniczonych, udzielanej kobiecie. Aż do XII dynastji historja Egiptu wspomina wprawdzie o zasiadających na tronie Egiptu kobietach, również o ich funkcjach niższych kapłańskich, jednak godności wyższych wtajemniczeń dostąpiła tylko jedna Neitoker. Byłaby ona zatem pierwszą uczoną kobietą, która dostąpiła wiedzy udzielanej tylko wyższej rangi kapłanom.

Wszystkie interpretacje tej legendy potwierdzają, że „Piękna na różanym wozie" była mądrą jak kapłani. Arabowie wierzą, że mumia Neitoker spoczywa do dzisiaj zamknięta w bazaltowej trumnie w sercu wielkiej piramidy — a duch jej w godzinie zbrodni błąka się w poszukiwaniu za utęsknionym małżonkiem.

Ku uczczeniu pamięci Ojca.

Dlaczegoś, Ojcze, nie został tu jeszcze?
Tyś był najpierwszy do czynu i słowa:
Choroba i śmierć wzięły Cię, jak w kleszcze,
Stanęło serce, umilkła Twa mowa.

Leżysz bez ducha i z głową bez myśli,
Bez czucia, z okiem, co już łzy nie kryje, —
Nie widzisz ludzi, co do Ciebie przyszli,
Nie słyszysz dzwonu, co tak smutno bije —

Płyną te cichych modłów naszych tchnienia,
Święte i wzniosłe — jak miłość i wiara —
Szczere — jak spowiedź w duchu praw sumienia,
Smutne — i łzawe, jak krzyża ofiara.

Modły kapłanów i rodziny łkania
Wznoszą się w górę tam, gdzie Bóg Przedwieczny.
Przyjmij, Tatusiu, nasze pożegnania,
Śpij więc spokojnie, Tyś już jest bezpieczny.

Maryśka z Kamionki.

Na drodze życia.



Różne fale przeciwieństw, niepowodzeń i nieszczęść uderzają w życie człowieka. Chwilami fortuna ukoi nas błogą szczęśliwością, to znowu złowrogie fatum zawiśnie nad naszą głową, znacząc swój pobyt ciężkiemi ciosami.

Na powyższym obrazku malarz przedstawił w mistrzowski sposób, jak to czasami fortuna zsyła na nas rozhukane fale, pod któremi niejednokrotnie tracimy nadzieję w lepszą przyszłość i staczamy się w przepaść zwątpienia.

Oto na młodą, piękną dziewczynę, która dotąd spokojnie i szczęśliwie stąpała po ścieżce swego żywota, uderzyły nagle rozpiętrzone fale życiowe, posypały się gromy, raniąc jej młode, kochające serce. Na niebo spędził wicher czarne tumany chmur, błyskawice rozdzierają ciemności, pioruny zagłuszają głośny plusk i szum rozkołysanych fal, które wdzierają się wysoko na kamienne głazy, pieniąc się i sycząc złowrogo. Zdaje nam się, że pod temi ciosami zostanie stłumiona najmniejsza iskierka wiary w lepszą przyszłość w sercu młodej dziewczyny, że sama runie w zwodnicze fale, które poniosą ją w zgubne odmęty. Tak jednak nie jest, bo oto runęła ona na kolana przed kamiennym krzyżem, który sterczy ponad rozhukanemi falami, jako jedyny znak Zbawienia dla młodej dziewczyny. Rękami objęła jego ramiona, wlepiła weń łzawy, błagalny wzrok, a wargi zdają się szeptać: „Panie! Ratuj mnie, ratuj!“ A Pan, który pomocy błagającemu nigdy nie odmawia, da jej ratunek pewny, bo oto zgóry bije płomienny blask jego świętej łaski, która przywróci dziewczęciu dawną szczęśliwość, a której już nic nie zmąci.

I my także, ile razy uderzą w nas gromy nieszczęść, czy niepowodzeń, rzućmy się na kolana przed krzyżem św. w kornej modlitwie, gdyż jedynie pod tym znakiem możemy dojść tam, gdzie niema burz, ni walki.

Franciszek Gabzdyl.

Jak sprzedałem kobyłę?

Humoreska.

Wczoraj wyprowadziłem na targ moją kobyłę, aby ją sprzedać. Klącz cicha, poczciwa i spokojna, jak baranek.

— Co pan chce za ten zdechły kuń? — pyta mnie jakiś żydek.

— Trzysta złotych — mówię do żyda, mszcząc się na obrazę, wyrządzoną mej klaczy.

— Jak una chodzi? jak wesz! Jej ani hycel nie kupi.

I rzeczywiście moja biedna klacz nie miała szczęścia. Oglądał ją ten i ów, kazano ją prowadzić krokiem, truchtem, kłusem i galopem, ale ostatecznie każdy odchodził niezadowolony.

Aż zbliża się do mnie żydek w długich butach i w barankowej czapce z klapami na uszach.

— Proszy pana, ja sprzedam te kobyły — mówi do mnie tajemniczo — pan da mi faktorne i już! Bo kuń musi skakać. A jak un nie skaka, to kupiec myśli, że kuń jest już kaput.

— Ależ ta klacz nie będzie skakać! — tłumaczę żydkowi. — Ona jest spokojna, ona jest tak wytresowana.

— Una nie będzie skakać? Una będzie skakać aż do tego balkonu.

— Ja bić konia nie pozwolę!

— Na co go bić? czemu go bić? — un będzie tak skakał.

W tej chwili zbliżyło się do nas paru kupców i poczęli oglądać konia.

— Jak ona stara? — pyta jeden z nich.

— Pięć lat! — woła mój faktor.

— Ależ dziewięć — mówię mu do ucha.

— Jakie dziewięć? Cztery lata ona była źrebięciem, to się nie rachuje. A klacz to una jest od pięczy lat.

Mówiąc to do mnie, trzymał konia za uzdę, jakby ten mu chciał uciekać i wołał ustawicznie:

— Prrr! — stój kobyła — stój.

A mojej kobyle ani we łbie było ruszać się z miejsca. Bo tak była nauczona.

— A chodzi ona dobrze? — pyta jeden z kupujących.

— Jak djabuł! Niech panowie popatrzą — mówi żydek.

I po tych słowach dał klaczy lekkiego klapsa na zad.

I stała się rzecz, od której zdębiałem.

Moja potulna spokojna Gniada spięła się, parsknęła i w szalonych, wspaniałych podskokach rwała przez targowicę, że tylko śnieg i kamienie sypały się jej z pod kopyt.

W parę minut później koń był sprzedany.

Żydek zażądał później faktornego pięć rubli.

Dałem mu je.

— Panie — mówię do niego — dodałbym jeszcze rubla, ale niech mi pan powie, jakim cudem ta spokojna klacz w pańskiem ręku zmieniła się w takiego ognistego warjata.

Żydek rozglądnął się bojaźliwie, a potem pokazał mi wierzch swojej prawej ręki.

— Widzi pan ten pierszczonyk?

— No, co jest? obrączka ślubna.

Żydek obrócił rękę. Na pierścionku, od strony dłoni, sterczało parę długich, ostrych kolców, z widocznemi śladami krwi.

Myślałem, że mnie krew zaleje.

— Ależ to łajdactwo! — krzyknąłem.

— Przepraszam pana — rzekł spokojnie żydek — łajdactwo będzi, jeśli mi pan nie da rubla.

Dałem rubla i zły jak chrzan wróciłem do miasta.



Maciek Bzdura gada:

Wkiejsik przyniósł mi liściarz od jednego z moich przyjaciół w Krzesowicach takie pisanie: „Kochany Maciusiu! Jak przecytałem twoją „Rolę" i dowiedziałem się, ze sie chces zenić, tagem se pomyślał co ty będzies ze zoną robił, bo ja sie tez chcę zenić, tez mi lata usły, a nie wiem, co sie ma ze zoną robić. Bo zona, to nie taka rzec, jak kuń, co go mozna zaprzągnąć do woza, tylko z tem stworzeniem trza sie delikatnie obchodzić. To jedna rzec, a druga straśnie wazna, zebyś sie tu do nasych Krzesowianek nie zalecał, bo chociaz tu jest naród spokojny, to mógłbyś nie trafić z powrotem na stacje. Pise ci te rade z dobrego serca Krzesowianin".

Jak kto ino przecyta te pisanie mojego przyjaciela, to zaraz pozna, ze temu memu przyjacielowi dał Poniezus tam rozum, gdzie kurze jajko. Bo przecie nawet najgłupsemu wiadomo, na co jest baba i co sie ma z nią robić. A ten mój przyjaciel, kiedy o tem nie wie, to moze jesce nigdy zadnej baby ze wszyćkiemi scegółami nie widział, a jeżeli widział, to sie jej dobrze nie przypatrzył.

Zreśtą przecie i Jadam w raju z początku nigdy zadnej baby nie widział, a gdy mu ją Poniezus na jego utrapienie stworzył, to jesce tego samego dnia poznał, co to za mycyje i spostrzegł, ile będzie miał z nią kłopotu.

I on bejdacek, takze odrazu nie wiedział, na co Poniezus to gadziaństwo stworzył i na jaką chorobę ono człowiekowi potrzebne. Zasumitował sie okrutecnie i pocął myśleć, do cegoby ją zuzyć. „Ha — powiada sobie — maci to łapska grubse, niz łujkowa kobyła, to pewnikiem sie przyda do oracki w polu". — Jak se pomyślał, tak i zrobił. Zaprzągł Jadam pirsą babę do pługa i wyprowadził na role. Ale ona, zamiast ciągnąć pług po ziemi, smyk ku Jadamowi i pocęła go lizać to po wargach, to po brodzie, to gdzie indziej. A ze to kuzdy chłop na babskie lizanie jest okrutecnie łasy, to i Jadam sie nie bronił. Cekał póki nie przestanie, a jak przestała, to dalejze batem po niej, aby pług ciągnęła. Jewa zasie znów do jego gęby. I tak zesło do wiecora.

— Nic z tego nie będzie — powiada se Jadam — widzę ja juz, ze to babskie stworzenie do cięzkiej roboty nijak sie nie nadaje. Trzeba będzie utrapienia w tym kierunku zaniechać. Ale przecie i krowa i koza, i owca nie pracują ciężko, a cłek ma ś nich jaki taki pozytek. Cemuzby i z baby nie było takiego pozytku, kiedy jej Poniezus nie poskąpił tego, co potrza, do takiego pozytku. Juz na oko mozna widzieć, ze nie skopek, jak krasula, ale z dziesięć będzie mozna naraz pociągnąć.

Jak se powiedział bidne Jadamisko, tak i zrobił. Ale cóz z tego! Ciągnie godzinę, ciągnie drugą, a tu nic i nic. Rozeźlił sie okrutecnie, ułapił kija i dalejze smarować Jewe, co sie patrzy. I ni mozna sie mu dziwić, bo nie wiedział, cy to grzych, cy nie, bo jesce wówcas nie było dziesięciorga przykazań Boskich, a choćby były, to przecie w zadnem ś nich nima: „Nie bij baby!" Bo przecie co inksego: Nie zabijaj, a co inksego: Nie bij! Walił tedy i walił Jadam Jewe, gdzie popadło, a do siebie przyblizyć sie jej nie dał, aby go znowu nie omotała i o dziwo! przekonał się, ze mliko leje sie jej nie stamtąd, skąd potrzeba, ale z oców, ino nie takie białe, ino bardziej podobniejse do wody.

— „Niech ta będzie i takie! — pomyślał sobie Jadam i podał babie garniątko, coby tego mlika nałapała.

— „Niech ta będzie i takie! — pomyślał sobie rada nie rada sikała to mliko z oków do garniątka, jaze się tego uzbirało cojniecoś. Skostował Jadom i powiada: „Nie takie smacne, jak krówskie, ale za to solone, to moze i z niego będzie jaki taki pozytek". Uciesony, ze przecie sie na co i to nowe stworzenie przyda, podsedł do Jewy, pogłaskał, a kiedy sie do niego przymiliła, przytulił ją do siebie i pośli spać. A kiedy nazajutrz oboje wstali, to sie juz więcej Jadam nie dziwił, na co baba jest potrzebną, a i dziś sie nikt rozumny o to nie pyta. Bo wiadomo, ze jak jest baba w chałpie, to nawet w największe mrozy cłekowi cieplej, a pozatem i hadery ma kto wyprać i dzieciom strawe ugdysić i kurom jajka pomacać. Ona juz do tego od samej maleńkości przyzwycajona!

To jest pirsa moja odpowiedź mojemu przyjacielowi z Krzesowic, a co do drugiego, to niech sie nie boi, bo po pirse ja do Krzesowic nie pojade, bo jak mi będzie potrzeba baby, to se ją poctą sprowadzę, jako próbke bez wartości, a po drugie, przecie mu ich wszyćkich nie zabiere. Mnie wystarcy pare tak, zeby jedna była na kuzden dzień w tygodniu. A przecie wiadomo, ze w Krzesowicach jest tego nasienia podostatkiem i to takie, jakie ino kto zapragnie, zreśtą jak i na całem świecie. A więc są mężatki i niemężatki, są panny i niepanny, są dziewice i niedziewice, przeto kuzden moze mieć do wyboru towar, jaki ino sam zechce.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Syrja II.



Typ Araba syryjskiego.

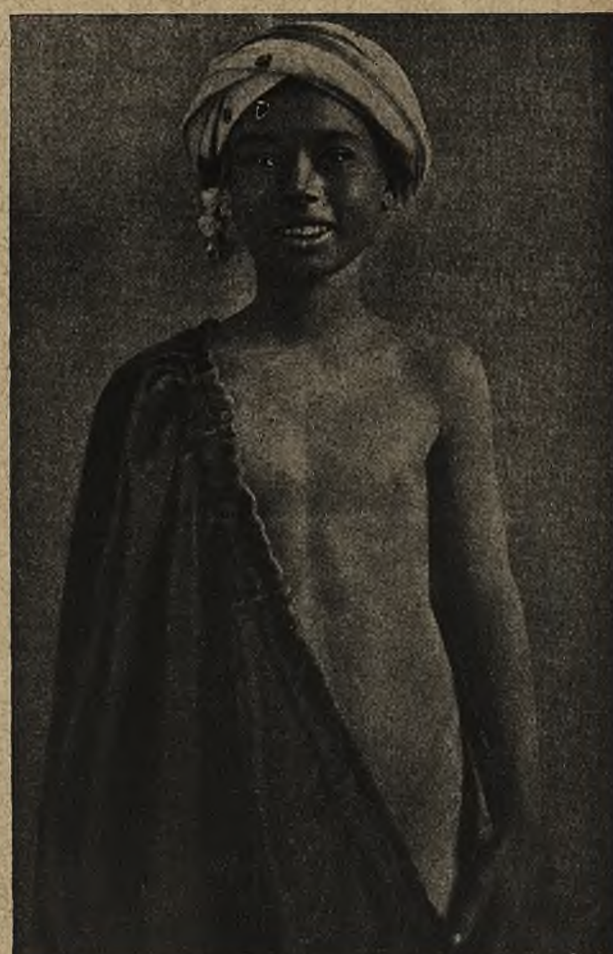
Jak wiadomo, reformator turecki, Kemal Pasza, postanowił Turcję upodobnić do krajów europejskich, a więc zreformować strój, znieść tak wielką zależność kobiety od mężczyzny. W miastach udało mu się to po największej części, ale po wsiach pozostało wszystko po dawnemu. Kemal Pasza marzył o tem, że za przykładem Turcji pójdzie cały świat muzułmański, jednak zawiódł się zupełnie pod tym względem. Tak w Syrji, jak zresztą i we wszystkich innych krajach zostało wszystko po dawnemu.

W Syrji mężczyzna i kobieta to dwa odrębne światy. Mężczyzna jest tu naprawdę panem i władcą, natomiast kobieta poddanką jego i niewolnicą. Kobieta już w czternastym roku przywdziewa cały strój czarny, jakby żałobny, i zarzuca na twarz również żałobny welon, czarczaf, z którym nie rozstaje się poza domem. Natomiast mężczyzna ubiera strój kwiecisty, często przesadny, co jeszcze podnosi urok jego u kobiet.

Kobieta nietylko nie bierze udziału w życiu publicznem, ale nawet w życiu prywatnem. Nietylko w meczecie nie dopuszczają jej do modlitwy narówni z mężczyznami, ale nawet nie wolno jej iść do kawiarni, teatru, czy innego publicznego miejsca. Ba nawet na ulicę nie wychodzi nigdy w towarzystwie męża. Pozdrowienie cudzej żony na ulicy, zaczepienie jej lub zagadnięcie przez obcego lub choćby nawet ukłon są niedopuszczalne i stanowią obrazę męża. Mężatka nie może jechać z obcym mężczyzną na jednym wozie, a w pociągach istnieją osobne przedziały dla mężczyzn, a osobne dla kobiet.

Ciekawe są świątynie arabskie w Syrji. Cała posadzka świątyni wyścielona jest samemi perskiemi dywanami. Z sufitu zwisają olbrzymie pająki lamp. Żadnych krzeseł, żadnych ławek. Pobożni, wchodzący do meczetu, zdejmują wierzchnią szatę, rzucają ją na posadzkę i w postawie stojącej wykonują modlitwę, poczem spuściwszy ręce do kolan, nachylają się tułowiem wprzód. Następnie padają na kolana, nosem i czołem dotykając posadzki, modląc się szeptem: „Allahu Uakbar! Chwała i cześć Tobie! Niech będzie błogosławione Twoje imię, a wynoszoną Twoja chwała. Niema innego Boga nad Ciebie! Do Ciebie uciekam się o pomoc przeciw szatanowi i t. d.“ Resztę modlitwy odprawia, siedząc na piętach. Pięć razy dziennie musi każdy muzułmanin odmawiać swoją modlitwę.

Ciekawe są pogrzeby u Arabów. Oto na czele orszaku idzie Arab, niosący zawój nieboszczyka lub czarny welon zmarłej. Potem poznać, czy umarł mężczyzna, czy kobieta. Za Arabem kroczy dwóch imanów (duchowni), a za nimi jedzie wóz o dwóch wielkich kołach t. zw. arba. Na wozie w pace spoczywają zwłoki, zawinięte w prześcieradło. Za wozem tym jadą dalsze wozy wraz z rodziną, przyjaciółmi i kolegami zmarłego. Na dwóch wielkich wozach znajdują się kobiety, które wszystkie płaczą i lamentują,



Chłopiec arabski.

jakby je kto ze skóry obdzierał. Niektóre załamują ręce lub wznoszą je ku niebu. Inne zaś rozdzierają szaty i zdają się wyrywać włosy z głowy, a inne znów biją siebie po twarzy, to znów czerpią pełną garścią w stojącej na platformie konwi błoto, rzucają sobie niem w twarz, skąd twarze u wszystkich uczestniczek pogrzebu są szpetnie zabłocone. Nie trzeba chyba dodawać, że są to wynajęte na pogrzeb płaczki, które za pieniądze odgrywają taką rozpacz za zmarłym.

Charakterystyczną cechą Arabów jest żywiołowa nienawiść do Żydów i do wszystkiego, co żydowskie.

Na obok załączonych dzisiaj obrazkach widzimy: na pierwszym typ Araba syryjskiego, na drugim młodego chłopca arabskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zaklęty dwór.

Powieść z przeszłego stulecia podług Walerego Łozińskiego.

VII.

Katilina rozpoczyna kampanję.

Pan mandatarjusz z fajką na długim cybuchu w głębokim zamyśleniu przechadza się po kancelarji, gdy wtem turkot bryczki rozległ się na ganku.

— Pan Żachlewicz! — krzyknął mandatarjusz uradowany i wybiegł naprzeciw gościa.

Pan Chochelka z pasją podciągnął kołnierzyki.

— Wytrzymajże dłużej u takiego gbura bez wychowania! — mruknął i biorąc za czapkę wymknął się za drzwi.

Mandatarjusz wprowadził swego gościa do kancelarji, a zaledwie zaskrzypły drzwi za Chochelką, pochwycił go za rękę i zapytał skwapliwie:

— I cóż, jak stoją sprawy?

— Wybornie!

— Czy być może!

— Pojutrze zjedzie komornik, uzna testament za nieważny a zarządzenie aż do dalszego rozstrzygnienia przyzna najbliższemu naturalnemu spadkobiercy. Dziedzic zaś dzisiejszy z wszelkiemi uroszczeniami pójdzie tam, gdzie pieprz rośnie.

Wtem tętent konia rozległ się przed gankiem.

— Na macie! — krzyknął mandatarjusz, poskakując do okna — Katilina!

Żachlewicz drgnął przestraszony.

— Katilina — powtórzył i skwapliwie pochwycił za czapkę.

— Nie chcę, aby mnie tu zastał — poszepnął do mandatarjusza.

— Zapóźno! już idzie — zawołał mandatarjusz, postępując ku drzwiom.

— Schowam się! — szepnął i tuż znalazł upragnione schronienie.

W kącie między dwoma szafami z aktami wisiała garderoba pana Chochelki, na którą troskliwy właściciel uszył rodzaj kapy z papieru.

Żachlewicz jednym susem poskoczył pod papierową zasłonę. Jednocześnie drzwi rozwarły się z trzaskiem, a Katilina wszedł do pokoju.

— Pan sam jesteś panie Gągolewski? — zapytał mandatarjusza.

— Sam.

Katilina rzucił się na sofkę i szpicrutą poklepał się po butach.

— Cóż tam słychać — zapytał znowu, a ukradkiem łypnął ku nieszczęsnej kapie papierowej.

— Nic — odparł mandatarjusz cokolwiek zaniepokojony.

Katilina zagwizdał przez zęby.

— Przybyłem umyślnie, aby się czegoś dowiedzieć od pana — odezwał się znowu po chwili.

Mandatarjusz wzruszył ramionami, ale zaniepokoił się naprawdę.

Katilina bystro wpatrzył się w mandatarjusza, a ten mimowolnie cofnął się o krok w tył.

— Ołańczuk nie powrócił?

— Dotąd nikt go jeszcze nie widział w całem dominjum.

Z oczu Katiliny złowrogi jakiś strzelił wyraz. Porwał się z sofki i szybko postąpił ku stołowi.

Mandatarjusz ciężko odetchnął: zdawało mu się, że Katilina zmierza ku fatalnemu ukryciu.

— Daj mi pan z łaski swojej arkusz papieru! — żądał niebezpieczny gość.

Mandatarjusz skwapliwie poskoczył na zawołanie.

Katilina usiadł przy stoliku, pochwycił za pióro i zamaczawszy w niezgrabnym kałamarzu, z zamachem szastnął po papierze.

Nagle rzucił się gwałtownie.

— Cóż za ohydny masz pan atrament — wykrzyknął i pochwycił za nieszczęśliwy kałamarz.

W tej chwili kałamarz ze świstem przemknął mu tuż ponad głowę i pozostawiając sporą plamę na okazałym nosie, padł trafnie wymierzony w kąt między szafą, poza papierową zasłonę.

I nagle głośny rozległ się brzdęk, pomieszany z wykrzykiem gniewu i przestrachu. Fatalna flaszka ugodziła w samą czaszkę Żachlewicza i rozbiła się w drobne kawałki.

— A to co? — wykrzyknął Katilina z udanym przestrachem.

— Gwałtu! ratunku! — zawrzeszczał okropnym głosem Żachlewicz — zamordowano mię!

Przygłuszony nagłem, niespodziewanem uderzeniem, wziął nieborak lejący się zewsząd atrament za czystą krew, w pierwszym przestrachu, i wysuwając się raczkiem ze swego ukrycia, jęczał w niebogłosy.

— Krew! krew! ratunku!

Mandatarjusz stał jak wryty na miejscu, a z przestrachu, gniewu i oburzenia, nie mógł wyrzec ani słowa.

Katilina zanosił się od śmiechu.

— Cóż pan tam robiłeś do djabła panie Tachlewicz? — zapytał nareszcie.

Żachlewicz zerwał się na równe nogi i ocierając strugi atramentu od gęby i nosa, uspokoił się wprawdzie co do swego uszkodzenia, ale za to wściekłym zawrzał gniewem i z zaciśniętemi pięściami prawie o krok naprzód postąpił ku Katilinie.

— Pocóż pan tam wlazłeś, panie Tachlewicz? — pytał niezmieszany szyderca.

— Bo mi się tak podob.... bło.... — silił się powiedzieć pan Żachlewicz, ale na nieszczęście zachłysnął się nową strugą atramentu.

Tymczasem osłupiały narazie mandatarjusz opamiętał się jakoś i w groźnej wyprężył się postawie. Postępek Katiliny rozgniewał i oburzył go do żywego, a przywiezione właśnie przez Żachlewicza wiadomości, śmiałem natchnęły go postanowieniem.

— Co mi teraz zrobi, kiedy za tydzień już wezmą djabli samego dziedzica:.. — mruknął sam do siebie. I w jednej chwili zmieniony do niepoznania, postąpił naprzód ku Katilinie.



Kałamarz ze świstem przemknął mu nad głową.

— Co to znaczy? — krzyknął — w moim domu!

Katilina rzucił nań jedno spojrzenie, a mandatarjusz co żywo cofnął się w tył i zamilkł, jak zaczarowany.

Katilina postąpił ku drzwiom.

— Wody! — krzyknął do sieni.

Potem spokojnie wrócił na środek pokoju i rzekł, jakby nic nie zaszło:

— Zaraz się pan Tachlewicz umyje, a potem będę się starał wytłomaczyć!

— Nie nazywam się Tachlewicz! — wrzasnął Żachlewicz ze wściekłością.

— Tak, pan komisarz nie nazywa się Tachlewicz! — ozwał się mandatarjusz.

Katilina parsknął urągającym śmiechem i postąpił naprzód ku niemu. Ale wtem rozwarły się drzwi, a do kancelarji wleciała przestraszona krzykiem pani sędzina, a za nią pan Chochelka i służąca z konewką wody.

— O la Boga! co się tu dzieje? — krzyczała pani sędzina zasapana.

— Nic zgoła — odpowiedział Katilina drwiąco uspokajającym tonem. — Pan Tachlewicz trochę się poplamił, ale zaraz się obmyje.

Tu pan mandatarjusz nie mógł powstrzymać się dłużej.

— Dosyć tego! — zahuczał gromowym głosem. — Nie chcę już cierpieć dłużej! Nie dbam o służbę u dziedzica, który sobie jakichś od świata posprowadzał łaj....

Nie dokończył, bo twarz Katiliny tak groźny przybrała wyraz, że i śmielszy z natury mógł się naprawdę przestraszyć.

Pan Chochelka zawczasu ratował się ku drzwiom ucieczką, a pani sędzina cała drżąca, poskoczyła na bok i rzucając mężowi spojrzenie opamiętania, zawołała, upominając:

— Bonifasiu! Bonifasiu!

Ale Bonifasio w jeszcze sroższy wpadł gniew i chciał już dokończyć sens przerwany, kiedy Katilina postąpił spokojnie ku niemu i patrząc mu bystro w oczy, rzekł zwolna i dobitnie:

— Słuchajno aspan, czy myślisz, że jak w imieniu dziedzica krzyknę na chłopów, to się potrafisz ochronić od pięćdziesięciu kijów?

Mandatarjusz struchlał cały.

I jak gdyby dla tem silniejszego potwierdzenia otworzył Katilina drzwi od sieni i wrzasnął gromowym głosem:

— Hej policjant! stójka!

Policjanta nie było, ale wpadł tak zwany stójka, t. j. dostawiony codzień kolejno od pojedyńczych gromad imienny stróż kancelarji, właściwie zaś daremny sługa pani sędziny.

Katilina przystąpił żywo ku niemu i chwytając go za ucho, obrócił go szybko do drzwi.

— Biegaj mi co żywo do wójta i każ, niech tu natychmiast przyjdzie z dziesięciu tęgimi parobkami! Ruszaj, marsz! — popchnął go ku drzwiom.

Stójka wyleciał jak opętany, a po chwili mignął się tylko przed oknami.

Pan mandatarjusz stał osłupiały na miejscu. Żachlewicz zbladł jak ściana poza zasychającemi plamami atramentu, a pani sędzina czuła wielką ochotę dostać ataku kurczowego.

— Mam pogadać z panem Tachlewiczem i chciałbym pozostać z nim sam na sam. Prosiłbym więc państwa... — dodał Katilina, wskazując na drzwi.

— Pójdź Bonifasiu! — krzyknęła pani sędzina i co żywo za rękę pociągnęła zmieszanego mężulka.

Chochelką już przed chwilą znikł gdzieś jak kamfora.

Katilina obrócił się do Żachlewicza, który chyłkiem wymykał się także z pokoju.

— Za pozwaleniem — rzekł, zastępując mu drogę. Pomówimy ze sobą kilka słówek.

— Ależ ja pana dobrodzieja nie znam! — wykrzyknął Żachlewicz prawie z rozpaczą.

— Nic nie szkodzi, to mię poznasz zaraz.

— Niech pan siada! — prosił Katilina.

I rzucając się sam na drelichową sofkę, zmusił swą ofiarę usiąść koło siebie.

— Teraz — rzekł z flegmą i spokojem — zaczniemy mówić na serjo.

Żachlewicz uczuł, że mu się znowu jakoś duszno zrobiło w piersiach.

Katilina ciągnął dalej z naciskiem:

— Wiem o wszystkiem, o wszystkiem, panie Tachlewicz.

Chudy skrzywiony człowiek drgnął cały.

Katilina świdrujący utopił w nim wzrok.

— Pan jesteś wielkim łotrem, panie Tachlewicz!

— Panie dobrodzieju! — krzyknął skrzywiony człowiek i porwał się z sofy, a oczyma łypnął ku drzwiom.

— Pan jesteś wielkim łotrem — powtórzył Katilina z większym naciskiem i kładąc mu swą silną szeroką rękę na ramieniu, zmusił go usiąść napowrót.

— Czegóż pan dobrodziej żądasz odemnie? — wybełkotał Żachlewicz na pół nieprzytomny z wściekłości i podłego tchórzostwa.

Katilina zaśmiał się z gryzącem szyderstwem.

— Nie bój się — rzekł — nie będę ci roztrząsał sumienia, jesteś łotrem dla siebie i dla kryminału! — mnie nic do tego.

— Panu dobrodziejowi nic do tego? — poszepnął tchórz mechanicznie, jakby się uspokajając tem zapewnieniem.

— Ja chcę cię tylko zrobić nieszkodliwym sobie.

Żachlewicz szeroko rozwarł oczy i wpatrzył się na swego dręczyciela, jak skazaniec na sędziego.

— Chcę poprostu skorzystać z przypadku, a mówiąc krótko i węzłowato mam panu postawić dwa warunki do wyboru.

— Wa... runki!

— Wybór bardzo łatwy. Albo zgodzisz się na pięćdziesiąt kijów, które ci każę tutaj na wieczną wyliczyć pamiątkę...

Żachlewicz był bliskim zemdlenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dwa dęby.

Na skraju lasu, na wzgórku otoczonym zbożami i pachnącą koniczyną, stoją dwa zgrzybiałe, mchem od starości porosłe dęby. Jeden z nich potężnych rozmiarów o rozłożystej szeroko koronie — szumi wesoło poważną melodję, radując się życiem i imponującą swych ramion potęgą. Drugi zaś karłowaty, o połamanej wichrami koronie, o rdzeniu toczonym przez robactwo, stoi cicho, smutny, zadumany, schorzały — nie śmiejąc spojrzeć w zdrowe i piękne oblicze towarzysza. Obydwaj wyrośli na jednym gruncie, lecz na oddzielnych, bezimiennych, dziś zapomnianych mogiłach — porosłych macierzanką i krwawnikiem.

Dęby, jako żywe pomniki przeszłości, stoją tu od wielu stuleci i opowiadają przechodniom legendy przeżytych dni, spoczywających u ich stóp snem wiecznym.

Nad polami szybowała w przestrzeniach majestatyczna cisza i spokój święty, cudowny. Z ogromnego morza zbóż płynął przytłumiony szept kłosów i uroczyste wołanie przepiórek. Z łąk i bagnisk dolatywała przeciągłem echem żabia kapela. Księżyc wzbijał się powoli z nad boru i coraz rzęsiściej rozsiewał po ziemi biel srebrzystą. Kilka chmurek przetykanych złotem i srebrem sunęło po malusieńku po pałającem gwiazdami niebie. Coś bezimienne, nieokreślone, a chwytające za serce unosiło się na niewidzialnych skrzydłach w morzu blasków księżyca. Las stał nieruchomo, wpatrzony w cudowność pól i zasłuchany w mistrzowską muzykę wieczornych kapel...

Od południa zaciągał delikatnem, rozwiewnem skrzydełkiem ciepły oddech wietrzyku, grając cichutko na kłosach zbóż i niosących rozkoszny zapach ziół polnych i lasów sosnowych.

Dęby, stojące dotąd w głębokiej zadumie, ozwały się dziwnym jakimś szmerem, który rozumieć mogą tylko dusze kochające przyrodę, żyjące od kołyski na jej łonie, pośród tych drzew i kwiatów, które są dla nich jedyną mistrzynią i szkołą.

— Bracie — ozwał się dąb-karzeł — czemuż ja jestem tak nieszczęśliwy od pierwszych chwil życia? Nie zaznałem jeszcze radości prawdziwej, nie wiem, co to uśmiech i pogoda życia. Wszak braćmi jesteśmy. Ojciec-wicher równocześnie nas posiał, równocześnie zrodziła nas ziemia-matka. O jednej porze zasadzono nas tu... To samo słońce nas ogrzewa, te same warzą mrozy i szarpią wichury... Ten sam deszcz i rosa niebieska padają na głowy nasze. Czemuż ty odbiegłeś mnie tak daleko, wyrastając na wspaniałego olbrzyma, bujającego zdrowiem i uśmiechem prawdziwego szczęścia? Koroną swoją sięgasz daleko, cieniem i ciszą darzysz uznojonego pielgrzyma i spokoju szukające ptactwo polne, które w nagrodę dzwoni ci dumki tak piękne, rozkoszne i zachwytne... tak rzewne... słodyczą upajające...

— Patrz! — ciągnie dalej z prawdziwą rozpaczą — oto konary moje zgruchotane, a serce pożera choroba i smutek. Jestem niezdolnym do życia i niepotrzebnym dla człowieka. Wszak chciałbym dorównywać tobie, bracie mój, i szumieć z tobą wspaniałą pieśń życia na cześć Stwórcy i kołysanki serdeczne dla tych, którzy po mozolnej pracy szukają spoczynku i wytchnienia w cieniu koron naszych — wszak dębem jestem, jako i ty!

— Druhu kochany — odszumiał poważnie dąb-olbrzym — boleję nad złamanem twem życiem i współczuję z tobą serdecznie. Lecz pamiętaj, że ręka przeznaczenia rozdzieliła nas i stworzyła odmienne warunki naszego rozwoju. Braćmi jesteśmy — to prawda; lecz że ta sama gleba nas karmi — to tylko złudzenie. Posłuchaj: oto skąd korzenie twoje czerpią soki codziennego pokarmu? Z prochów zbrodniarza — tak!

Wietrzyk polny zahuczał smutno i melancholijnie w połamanych konarach dębu-karła, który stał otoczony mgłą smutku, jakby korowodem czarnych widm...

Dąb-olbrzym szumiał dalej:

— Ja czerpię soki odżywcze z popiołów bohatera, który ochotnie poświęcił życie dla Sprawy ojczystej ziemi-rodzicielki. Żywiciel mój przez całe życie kochał wszystko, co piękne i szlachetne. Na dnie duszy chował ziarno miłości synowskiej dla pohańbionej niegdyś Ojczyzny... I kiedy w blaskach zachodzącej zorzy wolności uderzył w surmy bojowe Mąż wielki — poszedł on z szeregami zbrojnemi, zbrojnemi w kosy na wielki, święty, mściwy bój... Porzucił rodzinne zagony i cichy rodzinny zakątek — porzucił drogę rodzinną... Poszedł... Poszedł bronić wspólnej sprawy, pod ojczystemi sztandarami, poszedł za wielkim głosem Ojczyzny... Poszedł — bo dusza piękna, szlachetna, czująca i myśląca po synowsku nie pozostaje nigdy bierną, kiedy podli ciemiężyciele plugawią i bezczeszczą najświętsze ołtarze jego Ojczyzny. Poszedł, by spłacić dług synowski na bezmiernych polach narodowej Chwały...

Jarzyste gwiazdy migotały w otchłaniach nieba, księżyc uśmiechał się do ziemi, koniki polne w trawach ćwierkały, a przyjemny wietrzyk igrał z listowiem dębu, który szeptał dalej:

— Lecz wielu pozostało głuchych i obojętnych na rozpaczliwe wołanie o ratunek dla ginącej Matki. Byli to wyrodni synowie tej ziemi, ludzie wyzuci z czci i wiary, karły o kamiennem sercu, żerujący na krwią broczącem łonie nieszczęśliwej Macierzy... Dusze ich pełne były zgnilizny — a kiesy pełne judaszowskiego złota...! Jednym z takich jest oto ten, na mogile którego los kazał ci żyć... Straszna to kara dla ciebie — lecz nie twoja w tem wina... Przyjdzie pora, że dla potomków twoich losy będą łaskawsze... Nie rozpaczaj, ale wierz w słoneczne Jutro i raduj się ze mną, że ja, brat twój szanuję niedołęstwo twoje i zasłaniam cię miłośnie od wichrów zdrowemi ramionami swemi!

Rozmowa dębów umilkła...

Wietrzyk, wiejący od pól, strząsnął z ich liści na trawy mogilne duże krople rosy, które w blaskach księżyca świeciły perłami i brylantem, jak łzy, płynące z oczu istoty prawdziwie bolejącej nad dolą bratnią...

Księżyc chylił się ku nieboskłonom, wietrzyk ustał, zapanowała cisza zupełna — otaczając swym czarem niewysłowionym przecudny obraz pól, lasów i dwa samotne dęby, czuwających na starych kurhanach pod sosnowym borem.

Wielkie i niezgłębione są wyroki Boże, rozpostarte nad ogromem wszechświata. Szala Sprawiedliwości trjumfuje zawsze nad nieprawością, brukającą nieskazitelność Ducha... Żaden duch, żaden genjusz w rozumieniu ludzkiem nie może uniknąć tych Praw, które sięgają swem berłem wszechwładnem od krańca po kraniec Życia — w Nieskończoności Prabytu... Każda zasługa, każdy choćby najmniejszy szlachetny uczynek, tak jak każdy występek i choćby najmniejsza krzywda — odbierają należność swoją czy tu — na ziemi, czy tam — w pozagrobowych krainach wiekuistych tchnień...

W. Byczek - Breowicz.



Poradnik gospodarczy.

Uwagi o kulawiźmie zwierząt.

Bardzo często zauważyć się daje, że pomiędzy właścicielami inwentarza po wsiach i miasteczkach przy leczeniu kulawizny szczególniej u koni — szeroko rozpowszechniony jest sposób stosowania różnego rodzaju silnych i drażniących skórę wcierań leczniczych, najczęściej w postaci tak zwanej ostrej maści, lub też innej mięszaniny; również przy kulawiznach często jest używane tak zwane mydło rezolwujące.

Wszystkie smarowania, które najczęściej bywają zastosowane przez laików bez zrozumienia rzeczy i szablonowo, prawie nigdy nie odnoszą pożądanego skutku, a nawet przeciwnie, bardzo często przyczyniają się do pogorszenia choroby. Tę okoliczność radzę dobrze sobie zauważyć. Przytoczę parę przykładów.

W pewnej wsi w województwie warszawskiem zakulała gospodarzowi klacz, przypuszczalnie wskutek obrażenia stawu pęcinowego. Sprawa ta zupełnie nie była poważną, ani też niebezpieczną i gdyby robiono na nogę zimne okłady, to kulawizna po 5 do 7 dniach prawdopodobnie ustąpiłaby zupełnie. Lecz łatwowierny gospodarz usłuchał rady „mądrych" sąsiadów i wysmarował całą nogę (była to noga przednia) jakiemś bardzo mocnem smarowaniem od kopyta aż powyżej kolana. Wskutek tego stało się zupełnie coś innego, a mianowicie, cała noga spuchła tak okropnie, że klacz straciła apetyt, dostała gorączki i zupełnie nie mogła się podnieść. Po zbadaniu chorej nogi okazało się, że w górnej części koło łokcia uformował się wrzód bardzo duży i głęboki; leczenie trwało dwa miesiące, a klacz o mało nie padła. — Wszystko to właścicielowi nie opłaciło się, ponieważ wartość klaczy nie pokryła jej kosztów utrzymania i tak długiego leczenia.

Postępowania takiego nie można nazwać inaczej, jak tylko niezrozumieniem własnego interesu i barbarzyństwem względem zwierzęcia. W innej wsi zakulała młoda ładna jałówka i tu również doradził ktoś wysmarować całą nogę jakąś mocną maścią; noga fatalnie spuchła, a gdy po tygodniu spuchlizna zeszła, okazało się, że noga zaczęła usychać, wobec czego wychudzoną jałówkę oddano wkrótce do rzeźnika. Takie są skutki różnych bezsensowych zabiegów, lecz niestety jakże często jeszcze się to zdarza! W niektórych wypadkach mocne smarowania są wskazane, mają rację bytu i często bywają skuteczne, jednakże muszą one być zastosowane odpowiednio, umiejętnie, fachowo, w swoim czasie, we właściwem miejscu i w przepisanej ilości, a nie tak byle gdzie i wszystko jedno, w jakim wypadku.

Naprzykład przy zadawnionych zagrubieniach stawów lub ścięgień odpowiednie jednorazowe zastosowanie maści kantarydowej daje dobre wyniki i nie doprowadza do zapalenia mięśni całej nogi; przy przewlekłych cierpieniach stawu łopatkowego (tak zwane wypleczenie) również mocne smarowanie, zastosowane we właściwem miejscu i w odpowiedniej ilości może okazać się skutecznem. Wogóle należy pamiętać, że wszelkiego rodzaju wcierania drażniące, wywołujące silne zapalenie tkanek, powinny być stosowane tylko w wypadkach przedawnionej kulawizny, nigdy zaś w cierpieniach świeżych, początkowych. Wielki błąd popełniają ci wszyscy, którzy w pierwszych dniach jakiegoś stłuczenia ścięgna, stawu, czy łopatki, odrazu zabierają się do nacierania i smarowania; tem sprawę bezwzględnie pogarszamy i tylko niepotrzebnie utrudniamy właściwe racjonalne leczenie; choćby najsłabszy środek jest tutaj zupełnie niepotrzebny a nawet szkodliwy. Należy chorą kończynę pozostawić w absolutnym spokoju i robić bez przerwy zimne okłady przez 3—4 doby, a napewno w krótkim czasie nastąpi znaczne polepszenie, a może nawet i zupełne wyleczenie.

Wreszcie jeżeli przy zadawnionej kulawiźnie czy opuchlinie okaże się potrzeba zastosowania jakiegoś smarowania, to pamiętać należy, że niema najmniejszego sensu smarowanie na ślepo całej nogi, lecz tylko tam, gdzie jest przyczyna cierpienia, jeżeli zaś takową odszukać samemu trudno, to udać się o poradę do lekarza weterynaryjnego, samemu zaś do tego się nie brać.

Poradnik lekarski.

Woda destylowana jako lekarstwo.

Dotychczas panowało przekonanie, że woda destylowana, nie zawierająca żadnych domieszek mineralnych, czyli chemicznie czysta, jest szkodliwa dla zdrowia, że sprawadza często omdlenia i jest powodem innych zaburzeń w organizmie.

Wszystkie te twierdzenia obalił gruntownie — w drodze eksperymentów — profesor wiedeński, Dr Glässner, który przeprowadził w oddziale medycznym szpitala Rainersa w Wiedniu liczne próby leczenia pacjentów zapomocą takiej czystej chemicznie wody destylowanej. Każdy z chorych otrzymywał dziennie dwa litry czystej wody do picia. Kuracji tej podlegali chorzy na: uremję, chorobliwe zatrzymywanie się materji we krwi, zazwyczaj wydzielanej wraz z moczem, chorzy na nerki, zapalenie pęcherza, i na kamienie żółciowe.

We wszystkich wypadkach kuracja wypadła zadawalająco.

Dalsze próby, rzecz naturalna, są czynione gorączkowo, gdyż jeżeli się okaże, że ten prosty środek przynosi ulgę w tych poważnych cierpieniach, to pomysł prof. Glassnera będzie istnym wynalazkiem w dziedzinie wiedzy lekarskiej.

KRONIKA.

Pan Prezydent Mościcki w Estonji. W ubiegłym tygodniu bawił w Estonji przez dwa dni Pan Prezydent Mościcki. Tak rząd estoński, jak i ludność tamtejsza przyjmowali Dostojnego Gościa nadzwyczaj serdecznie. Pomimo niepogody ulice, którymi przejeżdżał Pan Prezydent, zaległy tłumy publiczności, wznosząc na jego cześć gromkie okrzyki.

Zmiany na stanowiskach starostów. W najbliższym czasie nastąpią zmiany na stanowiskach starostów. Starosta w Wadowicach p. Dynowski zostanie przeniesiony, stanowisko zaś starosty w Wadowicach obejmie starosta jarociński p. Wąs. Starostą w Jarocinie będzie mianowany dotychczasowy zastępca starosty p. Lipucha.

Tragiczny wypadek w Tatrach. W niedzielę w godzinach południowych wśród ulewnego deszczu, a miejscami śniegu i mrozu, wracała od popradzkiego stawu po stronie czechosłowackiej liczniejsza, 10 osób licząca wycieczka turystyczna, wśród której znajdował się także profesor gimnazjalny z Jarosławia, Władysław Duchiewicz. Turyści szli przez Żelazne Wrota w stronę Kaczej Doliny. Gdy znaleźli się na Gerlachowskich stawach, zupełnie już wyczerpani i pomarznięci, a niektórzy poodmrażali sobie kończyny, prof. Duchiewicz osłabł do tego stopnia, że dalej iść nie mógł. Wobec zapadającej nocy towarzysze ułożyli go w najwygodniejszem miejscu, nakrywszy go kocami i namiotem, a sami forsownym marszem ruszyli do Roztoki, skąd, bezpośrednio po przybyciu, późną nocą, zaalarmowali Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie ratunkowe, które, skoro świt, ruszyło na ratunek pod przewodnictwem p. Józefa Oppenheima i pod wieczór dobrnęło do miejsca, w którem pozostawiono zatulonego w koce prof. Duchiewicza; znaleziono go jednak nieco poniżej tego miejsca już martwego. Jak się zdaje, ś. p. prof. Duchiewicz widocznie próbował ratować się o własnych siłach, które jednak odmówiły posłuszeństwa, a olbrzymi wysiłek spowodował atak serca i zgon. Zwłoki przyniesiono do Roztoki, a stamtąd sprowadzono do Zakopanego.

† Ś. p. Wincenty Mach. Dnia 8 b. m. zmarł w Kamionce pow. Ropczyce Wincenty Mach, rolnik, jeden z najświatlejszych wieśniaków powiatu ropczyckiego. Pomimo, że ś. p. Mach nie posiadał prawie żadnego wykształcenia szkolnego, to dzięki wrodzonej inteligencji potrafił tak dalece rozszerzyć swe horyzonty myślowe, iż niejednokrotnie wiedzą swą przewyższał wielu z tych, którzy posiadali wyższe studja. Ś. p. Mach był szczerym przyjacielem i czytelnikiem „Roli", a jedna z jego córek (Maryśka z Kamionki) znana jest naszym Czytelnikom, jako utalentowana poetka. Redakcja i Administracja „Roli" przesyłają niniejszem Rodzinie ś. p. Zmarłego wyrazy głębokiego współczucia.

Rozsądny pastuszek. Pasażerowie lwowskiego pociągu kurjerskiego, zdążającego do Warszawy, przeżyli silne wstrząśnienie fizyczne i psychiczne Kiedy pociąg znajdował się między stacjami Pilawa i Celestynów, nagle rozległ się wstrząsający huk i wszystkie wagony podskoczyły gwałtownie z powodu zahamowania. Niemal wszyscy pasażerowie pospadali z ławek i wynikło zamieszanie. Okazało się, że przed pociągiem rzucono petardę, jako sygnał do zatrzymania wobec niebezpieczeństwa. Pociąg zatrzymał się tuż prawie przed niebezpiecznem miejscem: pękniętą szyną. To uszkodzenie toru zauważył pastuszek, pilnujący krów i zawiadomił najbliższy posterunek kolejowy, skąd wysłano kilku robotników. Nie zdążyli oni naprawić toru, ale zdołali jeszcze wczas zatrzymać pociąg, któremu groziła niechybna katastrofa. Pociąg ten przybył do Warszawy z godzinnem opóźnieniem i przepełniony legionistami, powracającymi ze zjazdu radomskiego.

Burze i grady w Stanisławowskiem. W ubiegłym tygodniu nad kilkoma wsiami województwa stanisławowskiego przeszła silna burza połączona z gradem. We wsi Rożnów, pow. Kuty, spadł grad wielkości orzecha włoskiego. Ani jedna szyba nie ocalała. Straty poniesione przez rolników wynoszą 75 procent. W gminie Kunisówce, powiat Kopyczyńce, spadł również potężny grad. W Kopyczyńcach zniszczył on kompletnie 300 morgów, zaś w Kunisowcach 350 obsianych gruntów. W gminach Rożnów i Dorchanów, pow. kosowskiego, wyrządziła burza gradowa znaczne szkody na polach jakoteż i w sadach.

Zjazd legjonistów. W niedzielę 10 b. m. odbył się w Radomiu Zjazd legjonistów, w którym wzięło udział kilkanaście tysięcy osób. Zjazd zaszczycili swą obecnością ks. biskup Bandurski i Marszałek Piłsudski. Na Zjeździe wygłosili przemówienia: prezydent ministrów Walery Sławek, gen. Rydz Śmigły i gen. Górecki.

Wykrycie szajki fałszerzy monet. W wyniku dokonywanych od dłuższego czasu obserwacyj policja łódzka wkroczyła niespodzianie do jednej z willi w Kochanówku pod Łodzią, gdzie od kilku dni zamieszkały trzy podejrzane osoby, uważane za agentów państwa ościennego. Liczny oddział policji obsadził jednocześnie willę oraz zabudowania gospodarcze. W istocie znaleziono dwu osobników, którzy bez oporu dali się aresztować. Przy przeprowadzeniu rewizji znaleziono przy nich przeszło 40 tysięcy złotych w banknotach w większej części fałszywych. Aresztowani podali nazwiska fałszywe, oświadczając jednocześnie, że pochodzą ze Lwowa. Po skomunikowaniu się drogą telefoniczną z policją lwowską, stwierdzono, iż ma się do czynienia rzeczywiście z mieszkańcami Lwowa, a mianowicie niejakim Gulasem, z zawodu rysownikiem, oraz Tuchermanem, kelnerem. W willi aresztowany został ponadto Lipa Szwarcwald, również mieszkaniec Lwowa. Wszyscy trzej aresztowani organizowali wielką fabrykę fałszywych banknotów złotowych i dolarowych. W toku rewizji znaleziono w willi i w stodole liczne klisze fałszywych banknotów oraz najnowszej konstrukcji maszynę drukarską.

Z nędzy do pieniędzy. Przed 30 laty wyemigrowało z ziemi płockiej do Ameryki dwu rezolutnych chłopców. Byli to bracia Henryk i Wilhelm Siemińscy. Wyjechali oni — jak tylu innych — szukać szczęścia za oceanem. Po przyjeździe do Ameryki cała rodzina Siemińskich (chłopcy wraz z rodzicami) osiadła w pewnem mieście: rodzice jęli się ciężkiej pracy, chłopcy poszli do szkoły. Przez 7 lat trwała nauka w szkole — potem rozpoczęli się chłopcy rozglądać za pracą. Mając 200 dolarów w kieszeni, zabrali się młodzi do pracy. Na jednej z ulic miasta założyli małą, ręczną pralnię bielizny. Praca ich była nad wyraz ciężką. Po całodziennem, ręcznem praniu bielizny, zasiadali obaj wieczór do książek. Wiedzieli oni dobrze, że aby zachować bieliznę jak najdłużej przed zniszczeniem, trzeba poznać chemję. Uczą się i zdają egzamin z chemji. Badają wszystkie gatunki mydła, aby nakoniec znaleźć taki skład chemiczny, który nie niszczy bielizny. Pralnia Siemińskich zamienia się powoli we wzór wszystkich pralni mechanicznych świata. Interes rozwijał się z dnia na dzień; bracia pracowali nadal usilnie. Niczego nie ukrywali — wszystkie prace w pralni mogły być każdej chwili przez klijentów kontrolowane. Siemińscy zapraszali umyślnie swoich klijentów do zwiedzania pralni mechanicznej i przypatrzenia się, w jaki sposób jest prana ich bieli-

zna. Zaufanie klijentów wzrastało — wzrastała też pralnia w bogactwo. Z małego sklepiku powstaje ogromna fabryka, zabudowania fabryczne zajmują obszar 450 tysięcy metrów kwadratowych. Stacja elektryczna z motorami i kotłami rozrasta się jak na drożdżach. 100 ogromnych samochodów ciężarowych rozwozi bieliznę po stanie New Jersey i New Jorku. Fabryka The Brunswick Laundry zatrudnia obecnie 1.100 robotników i stanowi sama dla siebie całe miasto ze szpitalem, restauracjami, salą gimnastyczną, biurami badań i t. d. Roczny obrót fabryki Siemińskich dochodzi do olbrzymiej sumy 6 miljonów dolarów i stale wzrasta! Kapitał fabryki wynosi 5 miljonów dolarów. Fabryka Brunswick Laudry jest obecnie własnością całej rodziny Siemińskich, jej założyciele, bracia Henryk i Wilhelm pracują w zarządzie. Henryk Siemiński przyjechał niedawno z żoną i dziećmi do Warszawy. — Oto przykład, jak człowiek światły, przy usilnej pracy może z niczego dorobić się majątku.

Pogryzieni przez wściekłe cielę. We wsi Ruszczany zdarzył się wypadek pokąsania przez wściekłego cielaka kilku osób. Jak zeznał właściciel cielęcia Antoni Zinówka, cielaka przed trzema tygodniami pokąsał wściekły pies. Niewłaściwie leczone cielę dostało onegdaj ataku wścieklizny, w którym pogryzło spotkanych po drodze wieśniaków. Pokąsanych odwieziono do szpitala.

Atak zgłodniałego węża. Wstrząsający wypadek zdarzył się w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej. Mieszka tam artystka Helena Zabłocka, która produkuje się w jednym z kabaretów w tańcach z wężami. W mieszkaniu oba węże znajdują się w oddzielnych skrzyniach. Względem jednego z węży, ważącego 25 kg. zastosowała artystka kurację odchudzającą, chcąc, aby ten stał się lżejszy. Przez dłuższy czas nie dawała mu nic do jedzenia. Kiedy wreszcie zobaczyła, że wąż schudł już nieco, otworzyła wieko skrzyni, a wąż rzucił się na nią i pogryzł ją bardzo dotkliwie. Zaalarmowani krzykami sąsiedzi zdołali po ciężkiej walce uwolnić ją z objęć dusiciela. Na ciele Zabłockiej stwierdzono kilka ran pochodzących od węża.

Skarb w ziemi. Z Wilna nadeszły interesujące dane co do odkrytego starożytnego skarbu dużej wartości numizmatycznej. Skarb istotnie został wykopany przez wieśniaka, który orał pole we wsi Rybiszki na terenie Wileńszczyzny. Po wydobyciu z ziemi skrzyni okazało się, że zawiera ona 400 monet srebrnych wysokiej próby. Znalazca w tajemnicy przed sąsiadami przewiózł skrzynię do miasta i monety sprzedał pewnemu jubilerowi za 5.000 zł. W obecnej chwili jubiler jest w posiadaniu 350 sztuk tych monet. Wieść o znalezieniu skarbu przedostała się do władz. Przeprowadzone badanie stwierdziło ogromną wartość naukową skarbu, znalezione bowiem monety są pochodzenia starolitewskiego jeszcze z czasów Witolda. Prócz tego znajduje się tam większa ilość tak zwanych grzywien kijowskich i nowogródzkich, pochodzących z 13 stulecia. Każda moneta owinięta była w zmurszałą materję. Skrzynia, w której znajdowały się monety, była drewniana obita wewnątrz blachą miedzianą. Obecnie sprawą tą zainteresował się urzędnik konserwatorski.

Obrabowanie 90 chłopów. Z Bukaresztu donoszą: W jednej z miejscowości pod Bukaresztem bandyci dokonali śmiałego napadu na większą partję chłopów. Z górą 90 włościan zostało doszczętnie obrabowanych, poczem odprowadzono ich do lasu, gdzie zostali przywiązani przez opryszków do drzew. Chłopi dopiero po kilkunastu godzinach zdołali się uwolnić dzięki przejeżdżającym tą drogą wieśniakom.

Olbrzymi zapis. Zmarły tragicznie przed dwoma laty na Węgrzech hr. Franciszek Vigyazo zapisał olbrzymi swój majątek węgierskiej akademji nauk. Inwentaryzacja spuścizny nastręczała duże trudności, ale została niedawno pomyślnie zakończona. Magnat węgierski pozostawił 18 wielkich skrzyń z klejnotami i z bardzo cennemi przedmiotami antykwarskiemi. Prócz tego do spadku należą: przeszło 500 zamków, pałaców i domów wartościowych. Urzędowo stwierdzona wartość całej spuścizny wynosi 23,517.000 pengów. Akademja nauk została zobowiązana do przeznaczenia 10 procent dochodu na kulturalne cele katolickie i do wręczenia tej sumy urzędującemu w danym czasie arcybiskupowi z Koloczy, który będzie dysponował temi pieniędzmi. Dzięki owemu zapisowi węgierska akademja nauk stała się naraz najbogatszą instytucją naukową na świecie.

Walka z Bogiem. Według wiadomości zebranych przez gazety włoskie. w Rosji sowieckiej w ciągu ostatniego roku zamknięto 422 świątynie, a w styczniu r.b. na samej tylko Ukrainie 42. W tym samym czasie przystąpiono do masowego burzenia cerkwi i kościołów, przyczem wysadzono w powietrze wiele świątyń o wielkiem znaczeniu religijnem, artystycznem i historycznem. Propaganda antyreligijna cieszy się jak najwydatniejszem poparciem władz i wprowadzono ją do wszystkich szkół, jako przedmiot obowiązujący. Założono nawet 13 szkół, w których kształcą się agitatorzy bezbożności. Natomiast zamknięto wszelkie wydawnictwa religijne, a literaturę religijną zniszczono. Pismo św. i książki do nabożeństwa spalono lub przeznaczono na opakowanie. Władze zabroniły wszelkich zebrań, oraz jakichkolwiek praktyk religijnych w domach wiernych. Religji nie wolno zdobywać sobie zwolenników, natomiast niewiara ma całkowitą swobodę w tym zakresie. Bezbożność stała się sprawą państwową i najwyższą nauką. Nietolerancja święci trjumfy. Obywatel wierzący uważany jest za „ukrytego wroga sowietów".

Wybryki antyżydowskie. Rosyjska gazeta „Wieczernaja Moskwa" donosi o nowej fali antysemityzmu w Rosji. Nastroje antyżydowskie przybierają najbardziej ostry charakter na Białej Rusi sowieckiej. Tak np. w fabryce fornirów w Witebsku robotnicy pobili dotkliwie żonę dyrektora fabryki żyda, zaś następnie tłum robotników rzucił się na zebranych na dziedzińcu fabrycznym robotników żydów i poturbował ich, wznosząc okrzyki: „Bij żydów!" Ekscesy przybrały tak poważny charakter, że interwencja milicji sowieckiej okazała się niezbędną. Pismo zaznacza, że największe oburzenie musi wywołać fakt, że robotnicy komuniści nie tylko nie bronili żydów, ale sami brali udział w ekscesach antysemickich. Władze rozwiązały komitet fabryczny oraz skierowały sprawę na drogę sądową.

Bunt więźniów. W więzieniu poczdamskiem, w Niemczech, w którem w chwili obecnej znajduje się bardzo wiele więźniów, wybuchł bunt. Więźniowie twierdzą, że porcje chleba i kartofli są zbyt małe. Bunt wybuchł w tej części więzienia, w której w chwili obecnej znajduje się 600 więźniów. Wśród ogłuszających wrzasków więźniowie wybijali szyby, łamali ramy okienne i niszczyli urządzenia cel. Policja otoczyła więzienie, zamykając wszystkie przyległe ulice, ponieważ istniały obawy, że komuniści przypuszczą atak z zewnątrz. Pomimo przetransportowania 100 więźniów do innej części gmachu, uspokojenie nie nastąpiło. Władze zmuszone były zawezwać w późnych godzinach wieczornych straż ogniową, która zalała cele wodą. Dopiero około północy wszystko uspokoiło się i powróciło do normalnego stanu.

Olbrzymia kradzież klejnotów. Z Berlina donoszą: Cały Berlin został zaalarmowany olbrzymią kradzieżą dokonaną w willi Dr Karola Siimensa. Nieznany sprawca zakradł się do willi miljonera i ukradł klejnoty wartości 100 tysięcy marek. Złodziej pracował niezwykle sprawnie, gdyż nie pozostawił za sobą żadnych śladów. Policja rozpoczęła poszukiwania i jest przekonana, że kradzieży dokonał głośny złodziej klejnotów Bachnick, który w roku ubiegłym skradł kosztowności wartości 60 tysięcy marek.

Córka kupca hersztem bandytów. Policja berlińska prowadzi od dłuższego czasu pościg za hersztem bandy włamywaczy, 18-letnią Elzą Peters, córką kupca z Berlina. Dziewczyna zorganizowawszy szajkę, złożoną z 7 rówieśników, dokonywała śmiałych wypraw złodziejskich w podmiejskich okolicach, gdzie okradała domki letników i wille. Szajka organizowała również napady na mieszkania, których właściciele wyjechali na letniska. Skradzione przedmioty dziewczyna sprzedawała, dzieląc się łupem ze swoimi spólnikami. Pewnego dnia niezadowoleni bandyci zbuntowali się, wymawiając posłuszeństwo. Dziewczyna znikła bez śladu. Obecnie, jak policja przypuszcza, zdołała zgromadzić siedmiu nowych opryszków. Siedmiu jej towarzyszy z poprzedniej bandy znalazło się w więzieniu.

Śnieg we Francji. W ubiegłą sobotę spadł w okolicach Paryża śnieg.

Matkobójca. Straszny dramat rozegrał się w pewnej wsi francuskiej koło Lannion. Dwaj bracia, 27-letni Adrien i 24 letni Józef Rouzes, posprzeczali się z niewiadomego powodu. Przerażona gwałtowną formą sprzeczki matka ich rzuciła się między nich, pragnąc ich rozdzielić. Na to chwycił starszy syn leżący obok młot i zadał matce tak silny cios w głowę, że biedna kobieta padła martwa z roztrzaskaną czaszką. Potem zwrócił się morderca do swojego brata z okrzykiem: „A teraz kolej na ciebie!" Po rozpaczliwej walce udało się Józefowi rozbroić swego brata. Adrien uciekł. Nie zdołano go odszukać.

Zęby w nosie. U jednego z dentystów paryskich zjawił się przed paru dniami pacjent.

— Przyszedłem prosić o wyrwanie mi zęba.

— Proszę otworzyć usta — powiedział dentysta.

— Kiedy to nie w ustach, panie doktorze...

— Jakto? A gdzież pan ma zęby?

— Zęby mam w ustach, ale jeden zabłąkał się do nosa!

Okazało się, że tak było istotnie. Niezwykły pacjent nie posiadał prawego siekacza, natomiast w prawej dziurce od nosa rósł mu ząb. Dentysta zawiózł niezwykłego osobnika do uniwersytetu, gdzie jeden z wybitnych chirurgów paryskich, prof. Betanier, usunął mu zęba z nosa.

Całe życie przespał na pieniądzach. Prawdziwa bajka życia była tematem rozprawy sądowej w Medjolanie. Żebrak medjolański Andreas Bagasberta podał do sądu gospodarza domu, w którym zajmował maleńką izdebkę na poddaszu, o oszustwo na jego szkodę, wnosząc pretensję o odszkodowanie 2.380 lirów. Bagasberta był kiedyś zamożnym człowiekiem, ale gdy starość poczęła mu dolegać, nie mógł już pracować i tak się wreszcie opuścił, że popadł w skrajną nędzę. Pozostał mu jedynie kij dziadowski, jako jedyny sposób zarobku. Począł więc żebrać na ulicach, ale zarabiał tak mało, że starczyło mu zaledwie na opłacenie mieszkania i trochę strawy. Większość cennych przedmiotów i mebli dawno już wyprzedał, pozostało mu jedynie eleganckie łóżko, z którem nie miał siły rozstać się. Ono mu jeszcze przypominało odległe czasy szczęścia. Gdy niedołężniał coraz bardziej, tak że czasem nie miał siły iść na ulicę, postanowił rozstać się i z tym sprzętem. Udał się więc do gospodarza i zażądał za łóżka 10 lirów (około 20 zł.). Ale gospodarz był człowiekiem nieużytym i skąpym. Obliczył sobie, że po śmierci staruszka i tak łóżko będzie jego, więc odmówił kupna. Gdy żebrak nalegał, zniecierpliwiony rzekł, że może dać dwa liry. Oburzony starzec poszedł na górę i postanowił podpalić mieszkanie i zginąć w ten sposób śmiercią samobójczą. Zebrawszy wszystkie siły, począł rąbać łóżko i nagle z jednej jego rozłupanej uderzeniem siekiery nogi wypadła tuba blaszana a z niej posypały się na podłogę złote monety. Staruszek osłupiał. Taki majątek drzemał w jego łóżku, gdy on cierpiał nędzę. Monet było sto sztuk. Starzec wziął 10 sztuk i udał się nazajutrz do gospodarza. Gdy chciwiec ujrzał stare cenne monety złote, ręce mu zadrżały, ale opanował się wnet i obojętnie zaproponował żebrakowi cenę po 2 liry za sztukę. Żebrak twierdził, że monety są więcej warte, ale gospodarz óburknął go i groził zrobieniem doniesienia do policji, twierdząc, że monety zostały komuś ukradzione. Rad nie rad, staruszek wziął 20 lirów i poszedł na miasto. U znajomego jubilera dowiedział się, że każda moneta jest warta 240 lirów i że jeżeli chce, to jubiler podejmie się je sprzedać. Tak się i stało. Żebrak otrzymał za swoje 90 sztuk monet 21.600 lirów. Jubiler poradził mu również podać gospodarza do sądu za oszustwo. Proces wywołał w Medjolanie żywe zainteresowanie. Gospodarz, wyrokiem sądowym, musiał zwrócić żebrakowi 2.380 lirów, a od całej sumy przyznano na korzyść rządu 30 procent.

Oryginalny obchód rocznicy. W oryginalny sposób święciła rocznicę swoich urodzin 70 letnia Anna Slike w Wenecji. Staruszka ubrała się w kostjum kąpielowy i popłynęła z mola w Wenecji do latarni morskiej w Santa Monica. Dzielna pływaczka przebyła tę odległość, wynoszącą 14 km. w 12 godzinach i 10 minutach. Ten czyn sportowy 70 letniej pływaczki można uważać jako nowy rekord pływacki. Jubilatka przybyła na miejsce rzekomo bez zbytniego zmęczenia i czuje się w dalszym ciągu doskonale.

Samosąd w Ameryce. W mieście Marion w stanie Indiana w Ameryce wydarzył się okropny wypadek samosądu. W więzieniu miejskiem znajdowali się dwaj murzyni, oskarżeni o zamordowanie niejakiego Klaudjusza Deetera oraz zaatakowanie kobiety, która szła w jego towarzystwie. Przed więzieniem zebrał się o 11 rano tłum, który chciał wedrzeć się do środka i porwać obu przypuszczalnych winowajców. Straż więzienia, czując się bezsilna wobec nacisku tłumu, użyła bomb łzawiących, na skutek czego tłuszcza ludzka odsunęła się od muru więzienia. Niebawem jednak tłum ponowił atak ze zdwojoną siłą i wdarł się do więzienia. Jednego z murzynów powieszono w oknie jego celi, a drugiego sprowadzono na dół do ogrodu więziennego i powieszono na drzewie. Rozpasanemu tłumowi nie wystarczyło to. O godz. 2 po południu przypuszczono nowy atak do więzienia, gdyż dowiedziano się, iż w związku ze zbrodnią popełnioną na Deeterze aresztowano jeszcze trzeciego murzyna. Wtargnięto do celi i porwano nieszczęsnego na dół. Tam zbito go do utraty przytomności. Murzyn byłby zginął pod razami, gdyby ktoś z tłumu nie oświadczył, że jest on aresztowany tylko za kradzież. Wtedy wypuszczono z rąk zbitego do krwi murzyna. Siła tłumu, który zaatakował więzienie, przenosiła 5 tysięcy osób. Przeważnie był on uzbrojony w młoty, siekiery i sztaby żelazne. Drzwi wejściowe więzienia zostały rozbite młotami, podobnie jak drzwi celi. Splondrowano przy tem biuro dyrektora więzienia.

RZECZY CIEKAWE.

Nowy wynalazek do wydobywania skarbów morskich.

Uzbrojeni od stóp do głów ze względu na piratów i bandytów wybrzeża, wyruszyło 10 mężczyzn z portu Seattle (Stany Zjednoczone), ażeby zapuścić się na 100 metrów pod zamarzniętą powierzchnię oceanu. Poszukują oni na wybrzeżu Alaski owych 5.600.000 dolarów w złocie, które od roku 1901 spoczywają na dnie morza.

Była to katastrofa, która poruszyła cały świat, 75 osób straciło życie, gdy okręt „Islander" zderzył się z górą lodową, a razem z nim poszedł na dno ogromny ładunek złotego pyłu, przeznaczonego na wybicie monet Stanów Zjednoczonych.

Obecnie postanowiono wydobyć ten skarb na powierzchnię wody. Inżynier Karol Willey z Olimpji, skonstruował nawet nowy, ogromnie odporny dzwon nurka, w którym można się opuścić na głębokość 165 metrów pod powierzchnię morza. A okręt „Islander" znajduje się tylko na 100 metrów pod powierzchnią morza.

Aparat ten jest ze stali i ma kształt wielkiego jaja, którego skorupa liczy 9 cm. grubości. To stalowe jaje jest ukoronowane hełmem i za pomocą rozmaitych kranów porusza się, jak winda. Ze stalowego jaja wychodzą długie ramiona stalowe, któremi osobnik znajdujący się w środku, może poruszać według woli. Są tam również urządzenia, które pozwalają nurkowi wybić otwór w ścianie okrętu i dostać się do jego wnętrza.

Kotwica okrętu „Islander" została już wydobyta na powierzchnię. Znaleziono również rozmaite klamki, przęsła metalowe, a nawet rakiety tennisowe — i to wszystko w doskonałym stanie. Nurkowie widzieli tam w dole dużo szkieletów ludzkich.

Aparat nie waży pełnych 1000 kg. i może być przewieziony na trójmotorowym samolocie. Plany jego są utrzymane w największej tajemnicy, ale zostaną oddane do dyspozycji ministerstwa marynarki Stanów Zjednoczonych na wypadek, gdyby ich potrzebowało w celach ratunkowych.

Obecnie chodzi o wydobycie skarbu, panuje jednak ogólne przekonanie, że nowy aparat będzie mógł oddać bardzo wielkie usługi przy wydobywaniu zatopionych łodzi podwodnych.

Ile kosztowała wojna?

Ostatnia wojna światowa pochłonęła potworną sumę — 400 miljardów dolarów! Ażeby tę olbrzymią sumę przeliczyć — trzebaby na to 4.000 lat, pracując dziennie 10 godzin i licząc po dolarze na sekundę. Waży ona 800 miljonów kilo, na jej przewiezienie trzebaby 80.000 wagonów, czyli 1.600 pociągów po 50 wagonów.

Co za te pieniądze możnaby kupić? Możnaby dać wszystkim pewność jutra. Możnaby wszystkim rodzinom Niemiec, Rosji, Francji, Austrji, Włoch, Belgji, Anglji i Stanów Zjednoczonych, jak obliczył Berger, dać na gwiazdkę za 2 i pół tysiąca dolarów i po półtora tysiąca dolarów na czarną godzinę.

We wszystkich tych krajach, w każdem mieście i miasteczku, możnaby wydać po 5 miljonów na szkoły, ochronki, zwalczanie gruźlicy, pijaństwa, ciemności, nędzy wyjątkowej i normalnej.

Oprócz tego za 10 miljonów dolarów każde miasteczko, cuchnące i chorobotwórcze można zmienić w ogród różany, a w każdej schludnej mieścinie zachodu możnaby wybudować kryształowe pałace nauki i szpitali, wybudować drogi i koleje, uszlachetnić handel i ożywić przemysł.

Pozatem pozostanie taka suma, że możnaby za nią utrzymać 350 tys. ludzi, pracujących dla kultury i oświaty, wyposażonych po 1.000 dolarów rocznie. Za resztę możnaby kupić na dodatek całą Francję.

Genjusz cierpliwości.

Ludzie wieków ubiegłych zostawili nam w spadku niezwykłe dzieła swoich rąk i oczu, świadczące o szczególnym darze iście anielskiej cierpliwości.

W pewnem muzeum znajduje się pestka wiśniowa, która zawiera w swojem wnętrzu tuzin łyżeczek srebrnych tak malusieńkich, że trzeba je oglądać przez lupę. Inny znowu genjusz cierpliwości na pestce od wiśni wyrzezał podobizny wszystkich papieży.

Za panowania królowej angielskiej Elżbiety, pewien ślusarz wykonał zameczek z mosiądzu, składający się z 11 części, a ważący wraz z kluczykiem 60 miligramów.

Dorobił do zameczka złoty łańcuszek, o 43 ogniwach i zaprzągł w niego muchę, która cały ten ciężar z łatwością ciągnęła.

Jubiler turyński Giovanni wyrobił miniaturowy okręcik o żaglach ze złotej blaszki, ozdobionych djamentami. Stateczek ten nabyto za 100 tysięcy lirów.

Prorocze sny.

Historja i legenda, najczęściej nierozerwalnie splatając się z sobą, przekazały nam bardzo wiele wypadków snów proroczych, z których jeden zasługuje na szczególne wyróżnienie.

Jeden z nich dotyczy dziwnego przeczucia, jakiego doznał we śnie w roku 1886 doktór Guldden z Monachjum, który obudziwszy się pewnego wiosennego poranka, z wielkiem zaniepokojeniem opowiedział rodzinie swojej o przeżytym tej nocy śnie, podczas którego zmuszony był walczyć, znajdując się w nurtach jakiejś wielkiej rzeki, z innym człowiekiem, wyraźnie dążącym do pociągnięcia go za sobą na dno.

Wkrótce po tym pamiętnym dla doktora Guddena śnie, został on wezwany do zamku Berg nad jeziorem Starnberkskiem celem czuwania nad zdrowiem internowanego w tym zamku króla Ludwika II-go Bawarskiego, u którego lekarze stwierdzili obłęd.

Wiadomo, że 13 czerwca wyłowione zostały z jeziora zwłoki króla i jego nadwornego lekarza, doktora Guddena.

Bardzo smutne przepowiednie.

Londyński „Sunday Express" teraz dopiero ogłasza artykuł Conan Doyle'a, złożony temu pismu na krótko przed śmiercią popularnego pisarza. Artykuł ten stanowi zbiór przepowiedni z krainy duchów, zakomunikowanych autorowi podczas seansu spirytystycznego. Bardzo to niedobre przepowiednie, bo oto jeszcze w bieżącym roku 5 krajów leżących na wschodnich wybrzeżach morza Śródziemnego ma wskutek katastrof naturalnych zniknąć z powierzchni ziemi. Z Atlantyku ma się wyłonić nowa ziemia, a natomiast wielkie obszary nadmorskie Ameryki i Europy zachodniej zostaną zupełnie zniesione przez fale. Podczas tych kataklizmów zginie bardzo wiele ludzi, lecz i w tem będzie pewien system, zginą bowiem będą ludzie źli i małowartościowi, najlepsi natomiast zostaną oszczędzeni.

„Klub udręczonych mężów".

Anglja jest typowym krajem osobliwych klubów i stowarzyszeń.

Niedawno w Liverpoolu powstał „Klub udręczonych mężów".

Przeszło 400 mężczyzn, dźwigających ciężkie jarzmo małżeńskie, postanowiło się połączyć w organizację, aby wspólnemi siłami bronić się przed szykanami ze strony żon.

Jakiemi środkami zamierzają się posługiwać dla osiągnięcia tego celu — niewiadomo narazie.

Ś. P.

WINCENTY MACH

zaopatrzony św. Sakramentami, po długiej a ciężkiej chorobie, zmarł 8 bm. w Kamionce. Pogrzeb odbył się 11 bm. w Czarnej.

Śp. Wincenty Mach pozostawił po sobie żal i rozpacz pozostałej Rodziny.

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

Pp.: **Franciszek Gabzdyl w Z.:** Nadesłany obrazek i opis do niego w numerze. Inne czekają na swą kolej. — **Wawrzyniec Brzeziński:** Nadesłane wierszyki pomimo dużych zalet jeszcze do druku się nie nadają, gdyż posiadają też i znaczne usterki. **Bronisław Słomka w N. S.:** „W obliczu śmierci" nie udało się; szczególniej zakończenie słabe. Ortografja!! **Edward Cygan w J.:** Coś podobnego czytaliśmy już w innej gazecie, przeto nie zamieścimy. **Wincenty Kuglin w P. Cz.:** Rymowany adres „Rola" nasza, co ją każdy zna, ulica Tomasza trzydzieści i dwa" bardzo się nam podobał. Nowelka pójdzie, ale może dopiero po skończeniu którejś z dłuższych powieści. **Stanisław Pawłasek w F.:** Zagadki zamieścimy. **Rec:** Wierszyki przeznaczamy do druku. **Józef Górecki w K.:** Większość zagadek zamieścimy. I autorowie zagadek biorą udział w losowaniu, a o tyle mają pracę ułatwioną, że przynajmniej nad własnemi nie potrzebują się mozolić. Siostra może również nadsyłać rozwiązania. Bardzo nas cieszy, jeżeli młode panienki gimnastykują również swój umysł. **Antoni Wrona w Z.:** Co do ustawy o drobnych dzierżawcach, to nic stanowczego nie możemy powiedzieć. Sejm ustawę taką wprawdzie uchwalił, a ostrze jej skierował przeciw większym właścicielom. Ci, obawiając się szkodliwych skutków tej ustawy dla siebie, powypowiadali dzierżawy, wskutek czego ustawa ta siłą rzeczy skierowała się przeciw dzierżawcom. Ustawa ta jednak jeszcze nie przeszła przez senat i dotychczas nie obowiązuje. **Władysław Mikosz w U. S.:** Listownie odpowiedzi o nadesłanych utworach nie wysyłamy, gdyż na to brak nam czasu. **Ludwik D. w D.:** Nadesłany artykulik zamieścimy. **Józef Topolski w B.:** Powieści tej nie znamy, więc nic nie możemy powiedzieć. **Bronisław Słomka z N. S.:** Wspomniane numera z r. 1928 będą kosztowały około 5 zł. Numer z czekiem p. Kołaczowi przesłaliśmy. Za życzliwość dziękujemy. **Tarsa Józef z Ł.:** Na nasz list Pan do dziś dnia nic nie odpowiedział, to też zażalenia na urząd pocztowy w Łużnej nie zrobiliśmy. Może obecnie panna Władzia „Roli" Panu już nie zatrzymuje. **Tomasz Konieczny w H.:** Starać się Pan może o zasiłek, ale czy przyznają tego nie wiemy, gdyż nie znamy tych przepisów. Gdy się coś korzystnego dla Pana w tej sprawie dowiemy, to podamy Panu w odpowiedziach Redakcji. Cześć!

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Adam Galer z K).

☆ ☆ ■ ☆ Drzewo.
☆ ☆ ■ ☆ Część ręki.
☆ ☆ ■ ☆ Utwór Konopnickiej.
☆ ☆ ■ ☆ Ptak.
☆ ☆ ■ ☆ Władca.
☆ ☆ ■ ☆ Po łacinie „zwłoka".
☆ ☆ ■ ☆ Naczynie.
☆ ☆ ■ ☆ Ogrody warzywne.
☆ ☆ ■ ☆ „Zielony" w obc. języku.
☆ ☆ ■ ☆ Narzędzie rolnicze.
☆ ☆ ■ ☆ Inaczej rów.
☆ ☆ ■ ☆ Część okrętu.
☆ ☆ ■ ☆ Półwysep w Europie.
☆ ☆ ■ ☆ Sposób ubierania się.
☆ ☆ ■ ☆ Drobina.
☆ ☆ ■ ☆ Instrument muzyczny.
☆ ☆ ■ ☆ Kanapa.

Litery rzędu trzeciego czytane z góry na dół dadzą przydomek człowieka głośnego z ostatnich czasów.

2. Szarady.

(Ułożyła Zofja Pawłowska).

I.

Pierwsza druga młoda
Godna słów pedziwu,
Chwalić jej nie szkoda,
Kiedy jest szczęśliwą,
Drugie czwarte żyją
Tam, gdzie woda płynie,
Pierwsze czwarte kryją
Rzeczy w magazynie.
Trzeci wspak... nie ganię,
Bo nas wspomódz może,
Całość noszą panie
Zwykle w letniej porze.

II.

Nie moja druga trzecia,
Że drugiej trzeciej nie mam,
Więc ci jej nie dam,
Ale ciesz się — całość wesoła,
Albowiem na to się zanosi,
Że cię ksiądz proboszcz na drugie
[i pierwsze zaprosi!

3. Urywanka.

(Ułożył J. Cz.).

Całość, myślę, wszyscy znacie
I serdecznie go kochacie.
Całość się nam zmieni przecie,
Gdy literę z niej urwiecie,
Bo to będzie duża bryła
Taka zimna jak mogiła:
Znów litera oderwana,
Reszta nam z nauki znana,
Tam mieszkało dwoje ludzi,
Ale wam nie powiem przecie,
Niech się sam czytelnik trudzi,
Aż całość znajdziecie.

4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył W. Zieliński z S.).

					Tymczas. mieszkanie.
					Roślina południowa.
					Duchowny.
					Doniesienie o przesyłce.
					Część mszy św.

Pierszy rząd poziomy i pionowy mają dać słowa o jednakowem znaczeniu.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 29 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 32 „Roli": 1) Logogryf: Missisipi. 2) Szarady: I. Bandyci. II. Zagadki. III. Serce. — 3) Łamigłówka kratkowa: Batory.

W oznaczonym czasie rozwiązanie zagadek nadesłali pp.: Wincenty Kula z M. K. Adam Pióro z K., Franciszek Kawczak z O., Aleksander Czapla z K., Henryk Biłka Głębicki z S. (wierszem), Stanisław Pawłasek z F., Piotr Wenc z S., Andrzej Skoczek z Z., Tadeusz Kozieł z Ż., Jan Gara z W., Józef Staniek z Z., Stefanja Świerkosz z Ż., Marjan Pauk z Ż., Irena Kaczorówna z S., Tow. Oświat.-Kult. z M. K., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Józef Topolski z B., Józef Kopacz z S., Franciszek Niedbała z T., Piotr Glica z S. G.

Nagrody wylosowali pp.: Irena Kaczorówna z S. i Andrzej Skoczek z Z.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

W biurze stręczenia małżeństw.

— Panie, mam dla pana coś! Pannę i pięć tysięcy dolarów posagu...

— A panna?

— Oto fotografja...

— Co? Ta tutaj? Czyś pan zwarjował? To ją powinni byli sprzedać na licytacji, jako najstarszy antyk ze wszystkich antyków.

W roztargnieniu.

Zaczekaj nieznośny bębnie; byłeś niegrzeczny, za karę nie dostaniesz jeść.

Mnie się, mamo, jeść nie chce.

Tak? Więc za karę dostaniesz jeść.

Przed sądem.

Sędzia: Teraz odczytam wam cały spis waszych kar poprzednich!

Oskarżony: Może prześwietny sąd pozwoli, żebym sobie tak długo usiadł!

Podsłuchane.

Ona (oburzona): — Ty cieszysz się z tego, że ojciec mój stracił cały majątek. To ohydne!

On: — Gdzież tam! Cieszę się tylko z tego, że jeszcze się z sobą nie zaręczyliśmy.

Którędy?

Matka: — Patrz Stasiu, właśnie kurczątko wylazło z jajka...

Staś: — Oj! ale którędy ono tam wlazło?

Giełda płodów rolniczych

z dnia 5 sierpnia b. r.

Pszenica	33·50—34·50	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto .	17·50—18·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	21·00—22·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	20·00—20·50		
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	35·00—35·50
Groch zwyk.	00·00—00·00	Mąka pszen.	71·50—72·50
Siano słodk.	12·00—13·00	Otręby pszen.	14·50—15·00
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	12·00—12·50
Koniczpastew.	13·00—14·00	Mąka czerw.	16·00—17·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 9 sierpnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 0·81 do 1·37 zł.	Jałownik	od 1·00 do 1·35 zł.
Woły . .	od 1·02 do 1·40 zł.	Cielęta .	od 1·02 do 2·00 zł.
Krowy .	od 0·80 do 1·40 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·00 do 2·30 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·40 do 2.75

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola“ przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.